

Michio Pesterka





1
Władysław Orkan

Miłość pasterska

Wydanie drugie, zmienione.

Witchamoun Oldham

Witchamoun Oldham

Miłos'ć pasterzka

4/

Mitotic apparatus

Wieczór lipcowy był — pogodny, ciepły.
Księżyc nad Pustkę wyszedł pełnią
I z poza smreków, które w milczeniu zakrzępy,
Z poza stręczystych chmur,
Które się jak baranki wełnią,
Zajrzał na moje osiedle...

Owiał mi duszę czar kochanych gór —
Tchnienie, o jakim śnią prastare jedle.

W te razy zaszedł urok nowy.
Ktoś w Pustce, skryty mrokiem,
Na fujarce smrekowej,
Na dziwnym, zapomnianym instrumencie
Zagrał mi dawną nutę..
Zadrgało serce, życiem strute —
I pod przemocnym jej urokiem
Zbaczyły mi się w tym momencie
Pasterskie moje czasy..
Kiedy to jeszcze stały hrube lasy —
Kiedy we wierchołkach drzew

Kołysały się orle gniazda —
Kiedy w uboczach rozlegał się śpiew,
Niewolący i ucho i serce
W złąknionej czarem pasterce...
Kiedy to długowłosey gazda,
Jak pniak zbutwiały, siwy,
W pasterskiej, dymnej kolebie,
Przy czasie słoty,
Gdy, jak mgły ciężkie, snują się tęsknoty,
Objawiał słowem różne cuda-dziwy,
Z wieści i sam ze siebie...
Kiedy to na słonecznych polanach
Życie kwitnęło młode —
Rój młodzi krzepkiej ognił się przy sianach,
Dopieroż przy zabawie!
A Śmiech, Pustota, w skwarnej tarzały się trawie,
Porwane przez swobodę...
I wreszcie kiedy przy zorzy wieczornej
Pasterze woły spędzali,
Zstępując z polan w gromadce honornej,
I na fujarkach grali...
A nuta szła w dół — na rozłoki,
Na pola, mrokiem osnute...
I kiedym teraz usłyszał tę nutę,
Taki mię objął żal głęboki,
Bez dna, nieukojony,
Że łzom nie mogłem dać ustanku.
Coś we mnie wołało łkaniem: »Franku! Franku!«
Jakby to wołał czas miniony...

Przeszedłem poprzez ten świat,
O którym tam na polanach śniłem —
Tyle straconych lat —
Walczyłem o coś — żyłem — —

Oto powracam duszą, bólem strutą..

.
O nuto! dawna, niepowrotna nuto!...



8.

WOJTUSIOWE LATO

15

I.

Na stromem zboczu, pod garbem grzbietowym na pół wysokości góry (Turbaczyka) wyświeca się z ciemnych wrębów nieduża polana, na północ otwarta, najbliższa wsi —: widać też z niej całą dziedzinę, wszystkie osiedla, jak na dłoni.

Na tej polance, niewiada czemu Płoszczaną nazywanej, pał woły swego ojca Wojtuś, czternaste lato poczynający.

Wygnał wczas rano, jak co dnia. Woły, wygłodniałe przez noc, łakomie strzygły trawę, mokrą jeszcze od rosy, a Wojtuś stał nad nimi, z zadowoleniem poźierał, jak skraja przykłádnie szorstkimi ozorami zawijały paszę, i rozpatrywał się po świecie.

Rano było pogodne. Słońce już oświecało prawie całą dziedzinę — w uboczy, schylonej pod pać, jeszcze trwał cień. Tem wyraźniej malowały się i przybliżały oczom pasterza: osiedla, w dole leżące, trawniki pod domami, płaty zbóż, łąk, koniczyn, światłem poobsypane.

Wojtuś, pełen krzepkiej w sercu radości, jaką darzy pogodny ranek, wodził oczyma po słonecznej dziedzinie, uważał, jako syn gospodarski, o ile się zboża zapolały a lny rozkwitły, śledził z zajęciem, gdzie już dymy z nad chałup się rozeszły, a gdzie dopiero na śniadanie palą, gdzie bydło na ugory wygnali, a gdzie dopiero ulicami od chałup wyganiają.

Najczęściej jednak wracał oczami ku jednemu osiedlu. I ani się postrzegał, jak się tu z częstem nawrotem najdował. Najpilniej też ze znaków miarkował, co w osiedlu tym ludzie robią, zwłaszcza w chałupie skraja od ulicy.

— Dym się rozniósł z nad dachu. Musieli pośniadać. To teraz pewnie stroją się do pola...

Obszedł oczami po dziedzinie, postął przy innych osiedlach, poobzierał się nawet daleko, jak widok się odsłaniał, i znowu wrócił.

— Nie widać jeszcze... Może dopiero śniadają?

Począł od nowa rozpatrywać się po dolinie. Z trawników, nakrapianych żółtymi jaskrami i siwemi pałkami ząbru, przechodził na przybielałe zagony jęczmion i orkiszów, na ciemne płyty koniczyń, na błękitne półka lnów, wędrował głowami nierówno stykających się różnozielonych kawałków, włóczył się dookoła młak i młaczek miękką porośniętą trawą, rachował miedze w jednym rzędzie, zatrzymywał się przy kępach, przy każdym spotkaniem drzewie, szedł z pasterzami, wyganiającymi

z jednego osiedla bydło, przez całą wygonną ulicę aż ku pastwisku i bawił wśród nich dłużej, niż zajęcie radziło — wreszcie, miarkując, że już dość czasu stracił, wrócił oczyma ku »swojemu« osiedlu.

— Czemuż ona nie wygania? — położył się już w niecierpliwem sercu. Całą nakazującą wolę wziął w oczy, wpatrzył się ostro w osiedle i powtórzył parokrotnie, niby zakłęcie mocne:

— Wyżeń-że! Wyżeń! Wyżeń!...

Ale zakłęcie nie poskutkowało. Nikt się z chałupy nie ukazał.

Wojtuś już przecie nie oderwał się oczami. Przyczaił się w ulicy, można rzec: przywarował u wyjścia z osiedla i czekał. Postanowił już czekać cierpliwie. Drętwiał w ciele, nudził się i niecierpliwił, jakby w rzeczy tam stał koło płotu.

Minęła chwila jedna — druga — czas dłużył mu się niepomrotnie. Nareszcie!... Z osiedla, jak dwa światła, wyszły łyse woły — za nimi Kasia...

Poznał ją z daleka i aż drgnął cały z radośnego wzruszenia. Przywarł odrazu oczami do jasnej jej postaci i prowadził ją przez całą ulicę i dalszą wygonną drogę aż ku stokom, póki jej schylenie lesiste wraz z wołmi nie przesłoniło.

Teraz począł w niecierpliwości serca i oczu pacierzami rachować, rychło się z wołmi we wrębie ukaże. Miał już odrachowaną miarę (nieraz ją sprawdzał!), wiedział też, że Kasia musi gnać jedyną drogą wrębem poprzez ubocz, bliską, bo jeno

potokiem dzieloną, i schyloną ku stronie, na której on stał z wołami.

Szepcząc »Zdrowaś Marya« i odliczając zmówione na palcach, modlił się zarazem gorąco o łaskę ujrzenia Kasi. Do Matki Boskiej miał zaufanie zupełne, większe, niż do własnej matki. Zwierzał się Jej ze wszystkim. Ona też nie odmawiała nigdy jego prośbom.

Niezadługo na przechyleniu zaświeciły białe czoła wołów (jak on je kochał! jak im rad był zawsze!). Wychyliły się wnet całe, czerwone i okazałe, a za nimi w zapasce czerwonej, w chustce niebieskiej — Kasia...

Wojtuś wiernymi oczami przypadł ku niej i już jej nie odstąpił. Wierzył, że musi widzieć abo czuć te jego oczy z oddali, tak strasznie przysłużebne. Modlił się ku niej całę nieznaną mową, która nie wiada skąd się rodziła. I patrzył — patrzył — już nie oczami, ale duszą. Czuł, jak krew odeszła mu z twarzy, jak serce nierówno się tłucze, jak nogi słabnieją pod nim — nie oderwał by przecie oczu, choćby omgleć padło.

A Kasia gnała woły zakosami, przegibując się i mieniając barwami stroju. Zdawało mu się, że często zwraca twarz jasną ku niemu, że nawet patrzy z utęsknieniem ku Płoszczanie. Nie przysiągłby na to przecie, bo mgłą i łzami zachodziły mu źrenice. W połowie zbocza, naprzeciw prawie, rozwiedła głos i zaśpiewała:

»Kalina sie kali
W kalinowym lesie —
Siwy koń, siwy koń
Siodełeczko niesie...«

Zadzwiećczało przeczyście po wrębie — po lesie — i poniesło sie dołu... A Wojtusiowi jakby sto ptaków rajskich zadzwoniło. Osłabł doznaku sercem. Już męką patrzył za nią, gdy podnosiła się z wołmi — ku wierchu. Stamtąd, już z góry, puściła rozwodny głos w dolinę:

»Ka sie popodziały —
Co ładnie śpiewały?
Powydawały sie —
Pozabacowały...«

I gasła zwolna w gibrzynach wysokich. Czasem chustka jej mignęła jeszcze z poza smreczków, jak skrawek nieba — hań u wierchu.

Wojtusiowi zdało się, że dzień się chmurzy, że słońko zachodzi. I wreszcie tam — za wierchem — zaszło jego słońko, radość oczu. Wnetby był płakał. Bezwiednie prawie zajął woły i gnać je począł ku wierchowi. Nieodparcie ciągnęło go coś za nią.

Osatał się dopiero na wyżniej polance. Przypominał sobie, jak mu ojciec ostro przykazywał, aby się z Płoszczany nie ruszał z wołami, aby nie gnać za wierch ku pasterzom.

— Pamiętaj, żebyś mi sie krokiem z polanki

nie ruszył. Tu se paś, tu trawa jest, to sie woły najedzą. Tam ino figle z pasterzami, bezceństwa, a woły, zganiane w jedno miejsce, ino sie rogami sermują.

Raz nie posłuchał, pognął z pasterzami, i omało że paskiem nie dostał wieczery. Wtedy jeszcze miał na obronę to, że słota trwała, zimno było, a tam pasterze w kolebach palili — bo tego, że mu sie samemu cnęło paść, ojciec nie chciał wziąć nijak na uwagę.

Cożby teraz powiedział? Jakby się usprawiedliwił? Dzień pogodny, słoneczny, aż powietrze drga — trawy dla wołów nie brak... Świat widno dookoła — ludzi pełno po polach — wesoło... Tak ojcu może się przedstawiać. Nieraz, jak się Wojtuś skarżył przed nim, że mu sie cnie samemu, powiadał:

— Ja by se za raj uważał, jakbych mógł tak ślebobdnie przy wołach wypocząć. Coż ci sie tam dzieje? Widok masz — głód ci nie dokucza — a żeś sam... Ho! ho! dziecko! Chciałbyś ty kiedyś sam побыć — jak ci ludzie dopieką...

A powie ojcu, że go coś gwałtem za wierch ku pasterzom ciągnęło? — Tego ojciec nie pojmie. Pocznie sie wypytować, jak sędzia surowy: »Jak? co? gadaj tu zaraz! Figle pewnie i letkomyślnictwa?«

A Bóg świadkiem, Stróż Anioł, co go na krok nie odstępuje, i Matka Boska, która w jego serce

czyste patrzy, że o nic mu innego nie idzie, ino o to, żeby na Kasię patrzeć choć zdaleka i słyszeć jej śmiech dźwięczny... Ale tego ojcu by nie zdradził, za nic w świecie! Raczej by wołał, żeby go o najgorsze posądzili...

To rozważywszy w myśli, zawrócił woły i z ciężkiem sercem zegnał je nazad na Płoszczanę.

Przywitała go nuda znajomego aże nadto miejsca. Ta polanka, która wydawała mu się kątkiem raj, kiedy pierwszy raz na nią wygnał woły, teraz wydała mu się jak więzienny plac, murem ojcowskiego zakazu otoczony. Miał swobodę, a nie miał.

Ten poniewolny przymus ciążył mu srodzej, niż najprzykrzejsza słota. Gorzył się w sercu i na ojca i na to, że musi sam paść i że nie jest panem swoim — wszystko go gniewało, na co pojrzał — na jedne woły pozierał z miłością: widział, że one jedne rozumieją jego strapienie serdeczne, i co chwila obracają ku niemu swoje dobre, wilgotne, współczujące oczy.

Zajął je i podegnał ku większej trawie na skraj wrębu. Niechajże se użyją za to przywiązanie. Nawet by im trawy w sadzie nie żałował.

A sam dalej gryzł gorycz przymusu. Jak pomyślał, że cały dzień, aż do wieczora tak tu musi po tej polance znajomej z wołmi samo-we-trój swijać, to aże łyzy mu w oczach świdrowały. Le-

dwo że się opanował, i że płaczem szczerym nie wybuchnął.

O nic mu nie szło — tyle dni dawniej sam tu spędzał w swobodzie serca, śpiewający, i ani mu się nie zaczęło — ino, że Kasia tam pognała, a on tu musi paść... Jaka to niesprawiedliwość!

Od czasu, jak ją ujrzał w ubóczy, gnającą za wierch, poczęła się ta jego męka... Leciała za nią myśl sama, ani jej wolą powstrzymać — jak i oczy, urokiem nieprzepartym rwane...

„Kiedych cie uwidział
W zielonej ubocy —
Hej!... zamięłowały się
W tobie moje ocy...”

Zanucił sobie cichutko samemu, i jeszcze smutniej mu się uczyniło.

Słońce wyszło ponad wierch i oświeciło zbocze. Zapaliły się we wrębie różowe pola zakwitłej gibrzyny, wszeleniejakie trawy podniosły się jakoby ze ziemi, każda swoistą ożywioną krasą, że różność była w strojach jak w weselu; z wierchołków, wieńcami w skrajach wrębu lub po polankach kępami stojących smreczków, poczęło się światło siać na niższe rozczapierzone gałęzie i odstające gałązki, padając na odsłonięte pnie, na ziemię — z ozłoconych szpilek; cud się dokoła czynił.

A Wojtusiowi nic to wesela w serce nie przy-

dało — gdy dawniej radośnie witał nigdy nie spowszechniały cud słońca. Patrzył, bo patrzył, ale jakoby w śpiączce, a cały myślą stał za wierzchem — tam mu słońce grało, tam świat mu się uśmiechał...

— Co to w tem?... — stawiał sobie pytanie, osatawszy się nieco. — Czy urok?

Nie wierzył jednak w uroki. Coś przecie musi być. Spodziewał się już tego oddawna. Tęsknił za tem. Tyle tęsknoty, westchnieniami, śpiewem w powietrze posyłanej... Aże ją ujrzał... w tej uboczy... Dlaczego wtedy?

Znał ją przecie oddawna. Jakże — strykowa Kasia... Ojciec jej w rzeczy nie był jego strykiem, ale tak go już z mała nazywał, jak nazywał chrzestny-ojcami wszystkich na osiedlu gazdów.

Kasia była dużo od niego starsza, coś o lat dziesięć, albo więcej. Temu też równą mu się zdała —: zrozumie jego tę wielką tęsknotę... Na rówieśne dziewczęta albo młodsze nie zwracał uwagi, jako na głupie jeszcze, nierozumiejące. W niej zaś wszystko było mądre: te oczy — niebo samo, te włosy, jak pasma z promieni słońca, ta chustka nawet (taka powinna być). A najmądrzejszym był jej śmiech, już nie do opisania! Kiedy się śmiała, świat cały musiał się cieszyć. I w tem ta mądrość była, że radością, weselem, szczęściem, rajem, niewoliła świat...

Wojtuś wierzył, że niemądrość w niej miejsca

dało — gdy dawniej radośnie witał nigdy nie spowszechniały cud słońca. Patrzył, bo patrzył, ale jakoby w śpiączce, a cały myślą stał za wierzchem — tam mu słońce grało, tam świat mu się uśmiechał...

— Co to w tem?... — stawiał sobie pytanie, osatawszy się nieco. — Czy urok?

Nie wierzył jednak w uroki. Coś przecie musi być. Spodziewał się już tego oddawna. Tęsknił za tem. Tyle tęsknoty, westchnieniami, śpiewem w powietrze posyłanej... Aże ją ujrzał... w tej uboczy... Dlaczego wtedy?

Znał ją przecie oddawna. Jakże — strykowa Kasia... Ojciec jej w rzeczy nie był jego strykiem, ale tak go już z mała nazywał, jak nazywał chrzesny-ojcami wszystkich na osiedlu gazdów.

Kasia była dużo od niego starsza, coś o lat dziesięć, albo więcej. Temu też równą mu się zdała —: zrozumie jego tę wielką tęsknotę... Na rówieśne dziewczęta albo młodsze nie zwracał uwagi, jako na głupie jeszcze, nierozumiejące. W niej zaś wszystko było mądre: te oczy — niebo samo, te włosy, jak pasma z promieni słońka, ta chustka nawet (taka powinna być). A najmądrzejszym był jej śmiech, już nie do opisania! Kiedy się śmiała, świat cały musiał się cieszyć. I w tem ta mądrość była, że radością, weselem, szczęściem, rajem, niewoliła świat...

Wojtuś wierzył, że niemądrość w niej miejsca

Postanowił obejść z wołmi dokoła polanę, trzymając się cienia, aby woły mogły się paść. W dniu upalnym najczęściej tak robił. Każdy przykładny pasterz nie postąpiłby inaczej.

Przywrócił przeto woły ku krajowi i pomykał się za nimi w miarę, jak się pasęcy posuwały. Starał się nie myśleć o niczem, jeno o tem, by woły się napasły, nim upał się wzmoże: bowiem wtedy ślepcie i bąki najzajadlej tną, woły jeno w las patrzą, gziją się za każdym bzyknięciem, i ani gwary o paseniu.

Pozierał przytem w stronę swojego osiedla, choć nie widno go było: pagór zasłaniał. Spodziewał się, że ojciec wyjrzy, obaczy i będzie rad, że on tak przykładnie pasie. Tem większego zaufania nabiere do jego pasterskiej cnoty, nie będzie już tak dawał pozorów, zwłaszcza, jak roboty przyjdą, i może uda mu się w który dzień niepostrzeżenie przegnać woły za wierch.

Ale ojciec od chałup nie wyrzał. Zapewne wyrzałby akurat wtedy, jakby Wojtuś pognał ku pasterzom. Złe bowiem wtedy się trafia, jak się go najbardziej nie chce.

Wojtuś zabobonnym był, wierzył w różne złe i tajne moce. Aby je unieszkodliwić, nie opuszczał rano i wieczór pacierza, żegnał się przed każdym przedsięwzięciem, a po śniadaniu, nim wygnał, kiedy woły z obory wypuszczano, gotowy do wyganiania, z biczyskiem w ręku wpadał do izdebki

i przed obrazem Matki Boskiej zmówił zawsze
»Zdrowaś Marya«.

I był na dzień, jakibądź przyjdzie, spokojny.
Pewnym był w sercu, że mu się nic nie może
stać złego.

Ten obraz najbardziej ze wszystkich lubiał.
Święta Barbara, co nad oknem wisiała, zdawała
mu się jakąś wielką panią, święta Katarzyna znowu
wolowatą, święty Franciszek zaś całkiem był po-
dobny do braciszka, co po kweście chadzał i ta-
bakę co chwila do nosa zapychał. A Matka Boska
na tym obrazie tak była ślicznie udana, że aż
serce tajało na Jej widok. Wysmukła była i w nie-
bieskiej sukni, białą wstęgą przepasana, stała stop-
kami na okrągłej ziemi, a u stópek Jej wił się
smok — trzymała na lewem ręku małego Pana-
jezusa, który miał znowu w ręce krzyżyk, o dłu-
giej bardzo lasce, ostro zakończonej —: tę laskę
ze swawolnym uśmiechem wbijał w oko smoka.
Ale to jeszcze nic. Najcudniejsza ze wszystkiego
była twarz Matki Boskiej, tak piękna, jakiej na zie-
mi Wojtuś nie przypuszczał, wierzył, że z nieba
być napewno musi — i oczy, takie dobre i tak pa-
trzące prosto w serce, że nicbyś już przed niemi
nie skrył. I gdzieś się obrócił, to patrzyły za tobą.
Te oczy Wojtuś wszędzie na sobie czuł. Tym
oczom poddawał się w opiekę. Wiedział, że go
wszędzie będą strzedz i chronić od nieszczęścia.

Raz doznał na sobie ich cudu... Było to przed

paru rokami — w sierpniu. Już na polanach trawy posiekli, i tam miał Wojtuś gnać. Jak zwyczajnie codziennie z rana, zebrał się, wypuścił woły i wbiegł do izdebki na »Zdrowaś Marya«. Potem zajął woły i pognął.

Dzień był posępny, szary, w uboczu mgła leżała. Wojtuś, że to smutno mu było w sercu przy takiej pogodzie, przygwizdywał sobie drogą i nucił różne śpiewki, ale skoro wygnał do uboczy i z polany najbliższej słyszał już pasterzy, (przez mgłę ich dojrzeć nie mógł) postanowił gnać cicho, aby tem większa uciecha była, jak go ujrzą.

Woły szły drogą w parze, powrozem za rogi, powiązane, aby się nie rozchodziły, a Wojtuś pobok nich, krajem drogi. Las wtedy niedawno ścięto w tej uboczy, popode drogę pełno było złomów, gałęzi i zajazienia. Gdzieś tam w górze, przy wierchu ktoś tłukł się — słyszać było odgłosy drągów i fółg: spychano docięte drzewa. Widzieć nie się nie dało, bo mgła leżała do ziemi.

Wojtuś prawie gnał woły zakrętem pod najbardziej stromem schyleniem uboczy. Nade drogą rozeznał przez mgłę kupę zepchniętych drzew, ze skóry olupionych, napoprzek leżących nad dwoma pniami. Naraz usłyszał w górze w uboczy dudnienie — za chwilę przeciągłe: »Waruj!« Potem głośnie już dudnienie. Pojrzał do góry i zmiertwiał. Obaczył we mgle, podskakujące wysoko nad ziemią, na poprzek pędzące drzewo... Prosto na nie-

go... Wiedział, że kupę drzew przeskoczy — na drogę spadnie... Ale już ani czasu do ratunku. Wiedział, że zginąć musi. Jeden moment. I w pół tego momentu, jak ptak przelatujący poprzód oczy, migło mu życie całe od kolebki... W drugim mgnieniu — jedna myśl — polecenie się w opiekę —: »Maryo!...«

Co się z nim stało potem, nijak nie może przybaczyć. Musiał jednak ostatkiem przytomności krzyknąć i skoczyć strasznie w dół. Albo też siła go jakaś odniosła... Bo pasterze, skoro usłyszeli krzyk jego i przybiegli co tchu, znaleźli go w łomach podedrogą — mocno skaleczonego po twarzy i rękach, ale zdrowego w ciele. Drzewo padło na drogę w to miejsce, gdzie stał, wołu jednego skwasiło na piękne, a drugiego poraniło... Tych wołów strasznie mu było żal potem, jak się obaczył.

Pozierał teraz na tę ubocz — ku temu miejscu nieszczęsnemu — tam bowiem najwyraźniej i najdokładniej cień oznaczał czas, jako że to schylenie było ku północy. A po cieniu miarkował godziny. Widział, że już nadchodzi południe: cień prosto na dół padał.

Z wołmi obszedł dopiero pół polanki. Woły też, czując czas przypołudnia, poczęły postawać i już nie miały woli się paść. Zajął je i popędził ku studzińce, którą sam był rękami wyrobił. Naprzód sam się napił, a potem je po jednym na-

poił. Z lubością patrzył na nie, jak, wypragnione, piły i nozdrzami oddmuchiwały suche liście buczyny, spadłe na powierzchnię. Czuł dla nich przyjaźń serdeczną, rozumiał je, miał czas je poznać, bo już od kilku lat je pasał; widział ich rozum, dobroć, przywiązanie, a nawet odwagę. Często stało mu w pamięci zdarzenie, które go najbardziej z nimi zprzyjaźniło.

Pasł w jedno lato z pasterzami, już po skoszeniu łąk — na Spalonem. A że to daleko było, nocywywał tam z wołmi w kolebie, albo woły zawierał do koszara z inszemi, a sam z towarzyszami schodził po żywność do domu.

Na jedną noc ojciec kazał mu woły zająć do chałupy, bo na drugi dzień mieli zwozić z pola. Zbiórki były.

Więc pod wieczór odłączył je od innych i pognał. Zmrok już był gęsty, kiedy przygnał na Turbaczyk. Z Turbaczyka droga wiedła na polanę niższą, siodłem grzbietowem przez las — jeszcze wonczas niewycięty. Skoro więc w ten las zegnał i już był w połowie, usłyszał raptem tupot i trzask gałęzi przed sobą. W ciemności dojrzeć nie mógł — ale zaraz z odgłosu poznał, że dzik przepędził po przed woły. Zmierzwił ze strachu.

W te razy jak się jeden wół, Kwiaton, puścił w las na dół po uboczy — to ino dudnienie straszne było słyhać i trzask łamanych złomów — tak gnał za dzikiem ku roztoce...

Wojtuś popędził drugiego, który został, i wyszedł z nim na polanę. Tu na otwartem miejscu w brzasku od zorzy zachodu zatrzymali się.

Wtedy tamten na dole zaryczał — a ten mu rykiem odpowiedział.

Za chwilę dość niemałą wyszedł z kraja lasu Kwiaton, ciężko dyszący. Radośnie przywitali się. I Wojtuś je zająwszy, pognał.

Odtąd byłby z nimi puścił się do najdalszej roztoki — po nocy — o każdym czasie — pewniejszym przy nich się czuł, niż przy dwóch śmiałych towarzyszach.

Dbał też o nie. Nieraz im pokryjomu przed ojcem siana za drabinę nakładł, soli podał, a bicz nigdy nie ośmielił się na nie podnieść. Gdy raz ojciec, nagniewany, pobił Kwiatonia, to płakał ze żalu.

Więc napoiwszy je do syta, zajął je i podegnał do cienia ku gęstwinie smreczków, aby im bąki nie tak dokuczały.

Woły, napasione i napojone, poległy zaraz, ciężko postępując, i poczęły żwiekować. A Wojtuś dumał teraz, co ma ze sobą począć. Południe — trzebaby jaki obiad ustroić — miał ze sobą ziemniaki do pieczenia, ale, że upał był, nie chciał mu się parzyć przy ogniu. Wolał już nie obiadować.

Przyszło mu na myśl, że w Groniu nad po-

lanką, widział kiedyś agrest leśny. Jeszcze zielony był. Nateraz może już dojrzał.

Poszedł wrębem ku górze i wyspinał się po skałach i kłodach butwiejących aż pod sam wierch.

Znalazł więcej, niż się spodziewał, bo prócz agrestu jeszcze parę krzaków pożyczek leśnych. Cierpkie były — ale w tym wieku smak nie przebiera.

Rwał kosmate owoce agrestu i czerwone jagody pożyczek i wysysał z nich smaki łakomie. Dumał jeszcze urwać ponadto i zanieść bratowi młodszemu do chałupy.

Naraz odskoczył z przestrachem —: obaczył koło krzaka czarną z łańcuszkiem na grzbiecie żmiję, wyciągającą ku niemu pyszczek z widełkowatym języczkiem.

Już go odeszła ochota na agrest. Zabrał się z nawrotem i zeszedł na dół, ku polance.

Woły jeszcze żwiewowały. Więc położył się opodał w cieniu i odpoczywał.

Słońce przechyliło się z południa — upał w powietrzu był wielki, tak, iż go włada w członkach odchodziła.

Leżąc na wznak na trawie, przymknął nużone światłem oczy i dumał, że uśnie na chwilę. Ale wyobraźnia nosiła go, jak piórko lekkie, wiatrem porywane. Najczęściej zalaatywał za wierch — na polany. Widział pasterzy, baraszkujących w skwarze przypołudnia, i Kasię wśród nich jak słonko

rozsmianą, darzącą szczęściem każdego, kto się w bliskości jej miał łaskę znaleźć. Żywo stanęła mu na oczach. Zdało mu się, że znajduje się ciałem tam między pasterzami i patrzy w nią, a błogość serce mu przepełnia. Śmiała mu się twarz cała, jakby istnie tam był.

Bał się myślą oderwać, aby nie stracić tej rozkosznej złudy. Tu się prawie że nie czuł — całą uwagę tam przeniósł, chcąc jak najwięcej rzeczywistości wydobyć z marzenia. Wodził się z pasterzami rówieśnymi, starszym docinał ukąśliwemi słowami, a co chwila twarz ku niej obracał, po dary oczu i uśmiechów.

I tak się w tem marzeniu zapomniął, iż ani spostrzegł, jak czas ubiegł. Ocknął się dopiero, skoro uczuł w bliskości sapanie i gorący oddech wołu na twarzy. Kwiaton, widząc go już tak długo bez poruszenia leżącego, przyszedł zaniepokojony obaczyć, co mu się stało.

Wojtuś ze zdziwieniem zmiarkował po słońcu, że już śródwieczerz. Zdawało mu się, że chwilę jeno tam za wierchem bawił. Ze smutkiem stwierdził, że to ino złudzenie było, nie istność. Ale choć z tego rad był, że sporo dnia tymczasem ubyło, i że już prędzej do wieczora zejdzie.

Popędził woły na środek polanki, bo już upału nie było się co obawiać. Usiadł wyżej nad uimi i rozglądał się po świecie.

Teraz cała dziedzina, rozłożona w dole, która

rano radosną krzepkością jaśniała, była — rzecz można — objęta sennem zleniwieniem, zrozumiałem po skwarze południa; lecz już chłodny cień odwieczora trzeźwił ją i przywracał krzepką żywłość polom. W wyrazie jej jednak miast radości, przebijała się poprzez rumieńce powaga, która szerzyła się z czasem i rosła w surowość, im bliżej zdawał się, po lasach jeszcze z mrokami przygarbionymi sunący, wieczorny chłód.

Powaga pół wieczorna udzieliła się i myślom Wojtusia. Popadł w zadumę — w odczucia niejasne, nieokreślone słowami. Wstawała w nim — jak już nieraz — tęsknota za czemś, co gdzieś jest — być musi — inne, a rzeczewiste, jak wszystko, co dotąd na ziemi poznał. Serce mu o tem szeptało. W chwilach podobnie świętych wstuchiwał się w ten szept, ale było to, jakby nieme tykanie zegara o wieczności. Nie mógł ani na włos zmiarkować. Czuł jeno, że w tych niemych znakach zaklęta jakaś wieść o skarbie, którego nawet pojąć: życiem-li, czy zatrąą dla tego, kto go znajdzie? I stąd trwoga, a zarazem ciekawość większa od trwogi — nieraz prawdziwą tęsknotą wstająca... Musi coś być — dumał — ku czemu straszną miał wolę. I dziw — przeczuwał, pewnym był w przeczuciu, że dojdzie — dojść musi! Ani ciemniem niewiary nie wątpił. Dróg nie znał. Jedno wiedział: że musi przejść przez »świat«.

Teraz oto, idąc za spadem wód ku północy,

oparł wzrok o ostatnie, w sroździe słonecznej tonące góry. Potąd, po widnokrąg, znał oczyma kraj. Dalej myślał wybiegał na pola — i niewiadomo, czy pola — nieznane. Czuł, że tam jest ten »świat«. Miał o nim bardzo niejasne pojęcie. Słyszał, że ludzie idą »we świat«, wracają »ze świata«. Nie wiedział, jak się tam dostać, jakim cudem — ale ani chwili nie zawątpił, że może do tego »świata« nie dojść. Więcej — wierzył, że cały ten »świat« nieznany przejdzie. Tak mu szeptała tęsknota.

Światła, bijące z zachodu, pociągnęły ku sobie wzrok Wojtusia. Z radosnem zdziwieniem ujrzał, jak mu chwile odwieczera prędko zleciały. Słońko stało już nad Babią górą i poczęło się zaczerwieniać. Cuda przedziwne były, gdy zaszło za smugę mgły. Oto rąbek chmurki zapalił się szczerem, przejaśnie świecącym złotem, a ku ziemi wystrzeliły z poza niej świetliste miotły i rozpuściły pył słoneczny po dolinach. Trwało tak chwilę.

Wojtusiowi tej radości jeszcze brak było, że nikomu nie mógł tego zjawiska pokazać, że sam się ino temu cudował oczami.

Wreszcie promienie poczęły się tracić, ognie na brzeżkach chmurki gasły — słońce wychyliło się, ale już mocno czerwone, i widziało się większe, a tak obrane z blasku, że można było oczyma w nie patrzeć.

Patrzył też w nie Wojtuś, a co na ziemię wzrok przeniósł, to wszędzie widział słońca, jeno

różne: czerwone, żółte, zielone, liliowe... Bawił się niemi, jak dziecko szkiełkami.

Niezdługo słońce sparło się już na krawędzi ziemi. I wyglądało jak ognista kula, której od dołu zaczęło ubywać... Wnet stało się, jak ognista kopa... Potem, jak ognisko na widnokręgu... I zaszło.

— Szkoda... — pomyślał Wojtuś, zapominając, jak pragnął wieczora.

Wieczór nadszedł. Zewsząd, jak drozdy na wiosnę, poczęli się odzywać pasterze bydła, śpiewając rozmaitymi głosami tęsknoty i radości swoje. Ożywiły się podleśne pastwiska. Jeno w uboczy było cicho. Tu nikt prócz Wojtusia nie paś. Woły wszystkie pały się za wierchem.

Wojtuś zaś jakby głos stracił. Poco — myślał — mam śpiewać, kiedy Kasia i tak nie usłyszy... Z wieczorem wróciła tęsknota ku niej. Patrzył ku wierchowi, czy się nie ukaże, choć wiedział dobrze, że przecie jeszcze nie może gnać o tym czasie. Zazwyczaj woły zganiano już w ciemną noc.

Wojtuś miał przykazane, aby do nocy nie dobywał, ale nie spieszo mu było zabrać się, choć tak wieczora wyglądał. Pasterze z pastwisk pozajmowali bydło, pouciszało się, mroczno już było — a on jeszcze z wołmi na Płoszczanie marudził. W ubocz pozierał co chwila, czy się nie ukaże. Już i droga we wrębie poczęła ginąć w mroku, a on wzrok wpijał aż do bólu... Zdawało mu się

czasem, że się ktoś tam rusza — idzie... pewnie
żenie!... Aż serce mu skakało ze wzruszenia. Wpa-
trzył się mocniej — a to pniak... Tak go zwodziło
kiela razy. Wreszcie pomroka zakryła ubocz do-
znaku.

Rozglądnął się za wołmi. Stały razem, obok
siebie, oczekujące, nudzące się, szyję na szyi po-
kładające. Coż miał robić. Zajął je z ciężkiem ser-
cem i pognął do domu.

II.

Tak zeszedł Wojtusiowi dzień jeden. Takich podobnych dni miał wiele w tym lecie. Nie zawdy jednak słońce i obrazy dalekie zasłaniały mu tęsknotę serca. Miał dni ciężkiej posępności, gdy mgły skryły niebo, dni smutku, dni szarej nudy... Miał też i dni strachu.

W jeden odwieczerz, gdy po południu upalnym słońce zaczęło mżyć, Wojtuś, jako znający się już nieco na oznakach zmian powietrznych, rozglądnął się po stronach, by zmiarkować, skąd co pogodzie zagraża, i obaczył na północy nad samym widnokregiem ledwo uznany, czarny pas... Ten pas począł się nieznacznie rozszerzać i za chwilę urósł już w dość sporą chmurę. Tem się różniła od innych, z za widnokregu wychodzących chmur, iż równą była od wierzchniej krawędzi, jakby ją kto pod linię obstrzygł, i rozciągała się na całą długość północnego nieba. Barwą też nie przypominała widzianych chmur, bo była cała jednolicie

34 78
czarna, nawet obrzeża nie różniły się od środka. Jedno powietrzne oddalenie łagodziło tę jej czarność i szarością ją, jako przesłoną lekką, zawłóczyło.

Wojtuś przypatrzył się jej ciekawie i, co jakąś chwilę czem inszem pobawił oczy, znowu ku niej powracał. Niepokoił go jej wyraz. Bo żeby choć łyskało się w niej, abo grzmiało...

Burzę on już niejedną przeżył. I trudno chyba o gorszą biedę, jaka mu się przydarzyła przed kilku rokami. Pasł woły na odległej polanie. Na noc miał woły zostawić, a sam do domu przyjść. Skoro je pod wieczór do koszara zawierał, usłyszał w chmurach od zachodu pomruki głucho. Nie zważał na to i poszedł — zdawało mu się, że zedzie z gór, nim się chmury oddalne przywleką. Ale burza krokami milowymi stąpa. Zastała go jeszcze na wierchach. I przyniosła z sobą taką noc, że ani ziemi pod stopami uznać. Wojtuś też drogę stracił i szedł instynktem przez ubocz. Co się łysnęło, to parę kroków stąpił. Zresztą szedł po omacku, na domysł. Pierony biły co chwila — ogień się suł przeraźny — raz jedlę roztrzaskało blisko — widziało mu się, że nie ujdzie żyw. Zmówił wszystkie pacierze, jakie umiał — wreszcie zdrętwiał doznaku i szedł na ślepo — bez pamięci. Kielo razy przepadł przez łąmy, stoczył się — ani zrachować. Osatał się dopiero, gdy równinę uczuł pod nogami. Burza też mijała. W brza-

sku od smugi jasnej, przetartej na zachodzie, dojrzał znajome podłeśne osiedle. Po północy już było, gdy doszedł do domu. Matka nie spała — modliła się, strwożona w sercu o niego.

Więc Wojtuś burzy się nie bał. Jenó niepokoiło go nieznane: co w tej chmurze dziwacznej może się znajdować?

Chmura gradowa — dumał — inakszy ma wygląd. Jest rdzawa, abo ceglasta, i górą się niesie, wysoko ponad ziemią. Szum od niej już zdaleka słyhać. Słota też w taki sposób nie nadchodzi. Bo naprzód lecą oderwane mgły, jako posłańce... A tu nic z tego wszystkiego.

Przybliżała się jak potwór czarny — bez kształtu jak noc... Już zatopiła góry widnokregu i sunęła wyraźnie w tę stronę... Wojtuś już ani na chwilę nie odrywał od niej oczu. I coraz bardziej się trwożył. Nigdy jeszcze nic podobnego nie widział.

Skoro już zatopiła dolinę Raby i bliższe pagóry, Wojtuś wyraźnie zauważył, że ma kształt czarnej, prostopadłej ściany... równej i przeogromnej, od wschodu do zachodu... I cicho sunie, jak noc.

Strach go obujął. Popatrzał po wsi — i widział, że wszystko, co żywe, równie się strwożyło. Ludzie pracujący zdala od osiedli, bieżeli wartko ku swoim chałupom, pasterze zajmowali bydło z pastwisk i z pośpiechem gnali ulicami... Podobnie

jak przed burzą. Wszyscy widzieli zbliżającą się czarną noc, ale że byli na dole, w kotlinie, nie mogli widzieć tak wyraźnie, jak on.

Pomyślał w strachu, czy nie zająć wołów i nie pognać do chałupy. Ale wnet pomiarkował, że za późno. Spotkałoby go na drodze — to już niech raczej tu go spotka, co ma spotkać. Tu chociaż krzaki są... Obejrzał się za schronieniem. Nic przecie nie wiedział, przed czym ma się chronić i jak... Co za tą ścianą, czy deszcz, czy...

— Cożby inszego być mogło? — pocieszał się. Ale strach mu podszeptwał przypuszczenia najgorsze.

Oczyma strwożonemi śledził ruch sunącej ściany — i lęk w sercu jego wstawał... Nie wierzył, żeby tak chmura szła... To idzie coś okropnego...

— Czy może to... koniec świata? — pomyślał z dygotem serca.

A ścianą sunąca noc zatapiała już dziedziny w dole. Na co zaszła — traciło się doszczętnie. Widziało się, że ta ściana miażdży i chłonie, co napotka.

Teraz zbliżała się szybko. Wojtuś z przerażeniem obaczył ją już naprzeciw — blisko... Niby okrutne widmo śmierci. Pomyślał w mgnieniu jednym z jakąś żałością poddaną, czemu nie są razem z Kasią... Czuł, żeby się łatwiej poddał, co bądź przyjdzie... Teraz ogarnął go lęk nad lęki.

Padł na ziemię kolanami i począł mówić pacierz
z wiarą przedśmiertną, gorącą...

.....
Ocknął się w nocy zimnej — we mgle tak gę-
stej, że krzaków blizkich nie mógł dojrzeć. Mgła
pełna mroźnych igiełek, pędziła szybko z północy

III.

Nareszcie doczekał się Wojtuś dni marzonych, do których przez tyle czasu tęsknotą wybiegał.

Na polanach rozpoczęły się sianokosy.

W dzień Matki Boskiej Zielnej pierwszy raz w tem lecie pozwolił mu ojciec pognać woły za wierzch.

Z jakąż radością tajoną zbierał się! Już o święcie wstał, przygotował se nowe kerpce, onucki białe, koszulę cieką, chazukę wyszywaną i kape-lusz ze wstążką czerwoną. Dzień się pogodny zapowiadał, to matka nie bronila mu odświętnego wdziania. Wystroił się, jak za družbę.

Śniadania mało co tknął, ino placka wziął kawalek, gruszek kiermasznic wsypał do rękawa i pognał spieszno.

Przygwizdując sobie wesoło, gnał ku uboczy drogą którą Kasia codziennie ganiała. Już to samo, że tą stroną gnał, radowało go nad miarę.

Gdy był z wołmi na wysokości Płoszczany na przeciw — zaśpiewał ku niej wesoło:

«Hej! Płoscano, Płoscano,
Zieleń-ze sie, zieleń —
Bedzie pasał na tobie
Swoje siutki jeleń...

I gnał w górę ku wierchowi, a co chwila obzierał się na dół, czy Kasia nie żenie. Świat mu się poniżył w dole. Dość spore góry widziały się mu stąd pagórkami, a pagóry okrągłe — ledwoznacznymi wzniesieniami. Jakby po schodach wstępował ku niebu, tak mu się ziemia w nizinę ścieślała...

Skoro z wołmi przechylił się za wierch, dopieroż radość pełną naszedł! Otworzył się mu jakby inny kraj — kraj niezmaconej swobody.

Na polanach rozwlekłych, wieńcami buczyny młodej okolonych i rzadkimi kępami smreczków jak i jedlic, widniały długie pokosy, gdzieniegdzie już nawet kopy siana, a w częściach nieskoszonych przedziwne łąki trawiaste, ełne kolorów mieniących się: błękitnych, złotych, liljowych... Wszystko to w pełnych blaskach słońca — w krzepkim uśmiechu rannym... Patrzącemu aż serce wyrывało się z piersi, radosne, a nogi same szły w taneczny ruch.

W podskokach biegł za wołmi, gzijącymi się po polanie, wreszeie, porwany przez swobodę, padł na miękką, rozgrzaną pokos i tarzał się po trawie... Nie wiedział już, co z radości począć.

Za chwilę wygnał woły na polanę Jasiak

z Brzyzku, starszy od Wojtka o roków pięć. Przywitani się wesoło:

— Nie widziałeś, kto zenie za tobom?

— Nie widziałech.

W krótkości opowiedzieli sobie swoje niebogatą sprawę.

— Ka-ś do tela paś?

— Na Płoskanie. A ty ka?

— Pod Wasielką. Ale i tu ku krajom wychodziłech z wołmi...

— Mnie nie dali.

— Jaby ta słuchał!...

Wojtuś zawstydział się. Chciał uchodzić za parobka, co ma swoją wolę, a tu się sam potknął. — Juz ani razu nie pozeńę na Płoscanę — przysięgał se w duchu.

Znowu kilka par wołów wychyliło się z za wierchu. Na polanie uczyniło się gwarno i głośno. Pohukiwania, przyśpiewy leciały w roztokę. Pastarze cieszyli się pogodnym dniem i sobą, że ich tyle zebrało się razem. — Była już gromadka spora, i to w różnych leciech. Prócz Wojtusia i Jaśka, byli tam jeszcze: Józek Cudzin, Łukasz z pod Trześni, Hanka od Zapałów, Kasperek mały Zajęcyn, i wreszcie Jędrzek z Doliny, najstarszy pomiędzy nimi. Ten też miał się już za gazdę i kazował se inszym woły nawracać. Choć go ta nikt bardzo nie spieszył się słuchać.

Nareszcie ukazała się i Kasia z wołmi.

Jak się zjawiła na polanie, to widziało się Wojtusiowi, że słońko jeszcze pojaśniało — tyle wesela przyniesła.

Z początku z nieśmiałością niejakaś patrzył w nią — nie widział jej już dawno zbliżka — lecz pomału począł go śmiech jej przyośmielać. Widział też, że równie szczerym śmiechem przyjmuje żarty i docinki pasterzy, jak i przychlebne ich słowa.

On też wszystkim śmiech jej przerozkoszny brał bez uszczerbku oczami, ku swemu szczęściu obracając go, jako to słońce, i snuł się za nią, gdzie stąpiła. Nic poza nią nie widział.

Skoro sposobność nadarzyła, że pasterze rozeszli się za patykami po kraju, aby ogień upalić na obiad, i Wojtuś został sam z Kasią, wysypał przed nią gruszki z rękawa.

— To la ciebie — rzekł nieśmiało.

— La mnie?

— Bo wy nie macie grusek... a u nas są...

— Toś dziś utrząś?

— Dziś.

Brała po jednej, jadła i śmiała się w przestankach. Wojtuś był już pół w niebie.

— Ja ci jeszcze jangrestu przyniesę! — obiecał.

— To macie jangrest?

— Nie. Ale ja wiem o nim. Rośnie w brzegu nad Płoscaną... Ino tam żmije są...

— Nie bois się to?

— Co sie mam bać!

— Ciel! Jaki śmiały! — chichotała.

Wojtuś, całkiem już przyśmielony, postanowił odważnie powiedzieć jej... Ważył w myśli: co jak... I z drżeniem ledwo spytał:

— Widziałaś mnie, jak ech paś na Płoskanie?

— Ba, dyć nieraz.

— I ja cie tyz widział... codzień.. jak-eś gnała...

Więcej jej nie umiał powiedzieć. Wszystko to już zresztą przeszło i nic z tego niema. Teraz radość w sercu z jej widoku wszystko przykryła. Słowa zbytnie.

Patrzył w jej oczy bijące weselem, w jej usta rozchylone, jako kwiat do słonka, i strasznie dobrze mu było.

— Coz tak patrzys? — śmiała się. — Jesce mie urzeknies...

— To odcynię...

— Byś umiał!

— Naucę sie od ciotki...

Śmiała się, szczerze rozbawiona, a Wojtuś już w niebie widział się cały.

— Ale jakiś ty wystrojony!... Ładnie ci w tym kapelusie. Jak družba.

— Bedzies mnie na družbę prosić?

— Bedę. Ino rośnij wartko.

— Coz to — ja mały? — Dźwignął się i stanął przed nią, podwyższając się na palcach.

Józek, który wrócił z kraja, skoczył i oblał ramionami za pas.

— Spróbujmy się!

Poczęli się szermować i wodzić po trawniku. Długo żaden żadnego zmódc nie mógł. Józek był tęższy w sile, bo i starszy, za to Wojtuś znał sposobów więcej. Skorzystał też z momentu, gdy Józek przegiął się nieco w tył, poderwał mu sposobem nogę i obalił go na plecy. Jeszcze leżąc na jego piersi, podniósł głowę i spojrzał z tryumfem na Kasię. Kasia śmiała się głośno, wielce ubawiona.

Przypadli pasterze łąsi, i poczęły się wodzenia kolejne. A wszystko przed obliczem Kasi. Śmiech jej dzwonił bezustanku. Każdy w sercu swoim dufał, że się z jego przeciwnika śmieje.

Ustali dopiero, skoro się Jędrak z Doliny wmięszal pomiędzy nich. Z nim nikto nie chciał się za pas próbować, bo choć mocniejszy, krzywdę lubiał czynić.

Obiad jedli pospólnie, a potem z wołmi szli krajami, aby się na noc napasły.

I Wojtusiowi mignął dzień jak we śnie.

Odłączywszy swoje woły, gdy na wieczór do dziedziiny zeszedli, gnał je ku ojcowskiemu osiedlu i rozwijał w pamięci barwne wstęgi dnia. Jeszcze na oczach stały mu obrazy, śnione w słońcu — jeszcze w sercu czuł radosne szczęście — jeszcze w uszach dzwonił mu śmiech Kasi. Ten śmiech przedziwny, pełen barw i dzwonek cudnych...

Pewnym był, że do niego radziej śmiała się, niż do innych. I nie było we śmiechu jej drwienia, jakiego innym nie skąpiła...

Jeden cień ino... Zauważył przelotnie u niej jakieś porozumienie oczami z Jędrkiem z Doliny i uśmiech inszy... Ale to pewnie przezdąło mu się tylko.

Z błogością myślał, że jutro, pojutrze będzie znów widział te oczy, wesela pełne, i ten darzący śmiech.

IV.

Pogoda przez resztę sierpnia trwała. Wnet pokoszono pozostałe łąki i suszono wilgne jeszcze siano.

Pasterze mieli uciechę. Na polanach ludno było, jak w czasie zbiórek we wsi. Gzili się z dziewczętami, pomagali im przewracać siano, raczej przeszkadzając niż pomagając w robocie, i nosili się ze śmiechami od kraja do kraja. Wołów pilnować nie trza było — miały ślebodne hale paszy.

Wojtuś naprawdę pomagał ludziom przy suszeniu, z tem większą ochotą, że to nie z przymusu, a z wolnej własnej woli. Grabił siano, przewracał, znosił do kóp, zwijał się, aż mu pot zalewał oczy. Co jedni skończyli suszyć, szedł ku drugim. I tak od rania do nocy. Nieraz, uznojony i umęczony do cna, praskał na ziemię w cieniu — ale za chwilę zrywał się i biegł z podskokami ku grabiącym, jak jeleni od wody. Radzi mu też byli wszyscy, chwalili go za prędkość i za sposobność

24
— 20 —
w robocie, a on się uśmiechał z dumą i niósł się, jakby w tańcu. Dwoiła się w nim siła na myśl, że robi na oczach Kasi.

Za kilka dni siano wysuszono. Coraz ktoś wyjeżdżał z wozem i brał z kóp wysuszone. Kopy rzedniały, traciły się nieznacznie. I pasterzy mniej było teraz na polanach, jak i wołów — zwożenie odrywało.

Jednego rana wywiózł wóz Jasiek z Brzysku. Mieli i oni tu siano. Roztrząsł kopy z pomocą Wojtusia, by przeszło z nocy. Ojciec Jaśka wyszedł na odwieczarz, i poczęli brać. Pasterze zeszedli się ku nim — był między nimi Jędrzek z Doliny, była i Kasia, ale pomagać nie było co. Siano prawie było na wóz. Ojciec przygrabował, Jasiek stał na wozie, a Wojtuś mu podawał. W czasie tego prześmiewali się, przegadywali ku sobie. Najwięcej podrwiwał Jędrzek z Jaśka.

— Źle kładzies! na jednostronkę...

— Jak ty bedzies gazdą, to mie naucys! — odcinał ~~Jędrzek~~ Jasiek.

— Założę się, że ci się przewróci!

— Poślę po ciebie, co byś dźwigał. Bo sie scycis, żeś mocny.

Pasterze śmiali się — najgłośniej Kasia. Stała nad wozem, na pagórku. Chustka jej spadała na ramiona — włosy rozteńczyły się dokoła głowy.

Wojtusiowi, pozierającemu ku niej z poza wozu, cudem się zdała, nie prawdą. Odurzonemu już pa-

chnością siana, głowa się zawracała. Ale trzymał się mocno, tężył siły i z zapalem podawał na wóz Jaśkowi kłęby zbitego siana.

Jaśiek odbierał, układał koło leter i deptał nogami.

Skoro już nakładli ponad letry i piętrzyć poczęli pod pawąz, Wojtuś nie mogąc dostać rękami — jako że wóz stał na pagórku, a on z dołu podawał — wziął ostrew (zwyczajnie kół osęczniony, na którym siano suszono) przystawił z dołu do wozu i, po sękach jak po drabinie wychodząc, podawał dalej Jaśkowi.

W pewnej chwili Jędrək, do krzywdzących ino śpasów zdalny, kiedy Wojtuś stał u wierchu, poderwał ostrew z pod niego — i Wojtuś spadł na ziemię. Szczęściem nie na ostrew, bo na jej sękach twardych mógłby się był istnie przebić. Nic mu się złego nie stało, ale się zląkł mocno.

Zerwał się rozzłoszczony i skoczył do Jędrka. Ten, będąc jeszcze w górze, odepchnął go tak mocno, iż Wojtuś padł na wznak i głową jęknął o trawnik. W tym momencie usłyszał śmiech Kasi...

Ból, i wstyd większy od bólu zaćmiły mu rozum. Nie władał sobą. Porwał się z ziemi w strasznym gniewie — ~~jak~~ przez mgłę dojrzał porzuconą rąbanicę, którą ojciec Jaśka pawąz wystroił. Schylił się po nią i rzucił się ku zdrętwiałemu z przestachu Jędrkowi...

W te razy Jasiak hipnął z wozu i dołapił go za rękę w chwili, gdy już miał się zamachnąć..

Wojtuś naraz osłabł w sobie, usiadł na ziemi i długo jeszcze dygotał w sercu ze wzruszenia.

•

Kasia odtąd przestawała się śmiać, gdy się Wojtuś zbliżał. Próżno wyglądał dawnego jej śmiechu.

■

W jeden wieczór zganiał woły na dół. Gnał sam. Pasterze z polan już pognali. On zabawił się jeszcze przy koszarze.

I gnał z góry uboczą przez wrąb, w widnym jeszcze pobrzasku, padającym od zorzy zachodu.

Z wrębu droga skręcała w przylaski, na zakręcie zarosła trawnikiem.

Darń tłumiła stąpania wołów, i on też cicho szedł za niemi.

Przechodząc koło przylasku, rzucił okiem w głąb i w zdziwieniu zatrzymał się. W żrocznym odbrazsku pomiędzy smreczkami dojrzał dwa łyse woły... Przyjrzał się lepiej — istotnie — woły Kasi..

— Przecie już spora chwila, jak pognął. Czyby czekała tu — na niego?

Serce zabiło mu z radosnego przypuszczenia. Cicho podsunął się — odchylił gałęzie smreczków i — cofnął się czempredzej.

Obaczył Kasię — w uścisku z Jędrkiem z Doliny...

Zbiegł prędko za wołmi, które już niżej zeszyły i gnał do domu. Wstyd jakiś bolesny czuł w sercu. Napróżno silił się go pozbyć. Smutno mu było bardzo, ciężko i czegoś żał...

Raz — pamięta — ale to już bardzo dawno — podobnie żał mu było nowiuteńko kapelusza, co mu ojciec kupił, gdy się nieszczęsnym przypadkiem na środku przepalił.

*

Nazajutrz, żenąc woły w górę ku uboczy, skreślił i, choć mu teraz ojciec nie kazował, pognął paść na Płoszczanę.



7

70.

JAK JÓZUŚ CHCIAŁ,
A JAK MU WYSZŁO

34

Józuś, Mieкусиów syn, z pod hal od Dunajca, ukończył szkoły w Krakowie i na wakacyach w chałupie u ojców bawił. Nie wiedział jeszcze, gdzie się na przyszły rok obróci: — czy na doktora pójdzie, czy na księdza, czy też na sędziego. W domu najbardziej by radzi byli, żeby na księdza poszedł. Nie powiedzieli mu dotąd wyraźnie, ale ze wszystkiego miarkował, że tak myślą; matka już drugi tydzień na tę intencję nowennę odprawiała.

Józuś do żadnego stanu wyraźnego powołania nie czuł, najmniej zaś do duchownego; ale czuł, że się oprzeć nie potrafi, skoro go poczną nakłaniać... Zmęczoną głowę miał po ośmiu latach nauki, i najchętniej by się niczem nie zajmował, jak oto w tym czasie. Całymi dniami wałęsał się bez celu, wysypiał się w sadzie do słońka i chodził między ludźmi osiedla jak śpiący. Tyle, że czasem do kościoła, przez matkę przynukany, poszedł, księdza proboszcza odwiedził — ale i to czynił bez ożywienia, jak w śpiączce.

Matka przepomagała się, by mu jeno w jedzeniu dogodzić; jajeśnicę mu co rano smażyła, za-

cierkę z białej mąki na mleku gotowała, poddawała mu, co mogła; i Józus wnet stracił bladłość przyniesioną z miasta, przybyło go na gębie, wyglądał, jak rydz bukowy.

A że w próżnowaniu i przy dobrem jadłe zwykły różne myśli przychodzić do głowy — więc i Józusiowi przyszła myśl: pójść ku szałasom, na hale... Zbaczyły mu się owce, siano, pasterki, śmiejące się takim śmiechem, który aż łaskocze... Tu pracujący ludzie przeszkadzali mu — tam mu już nikt nie przeszkodzi.

Najbliższe szalasy były na hali Chochołowskiej. Tam też Józus poszedł.

Pasterze i pasterki przyjęli go ochotnie, bo znali go od mała — niejedno lato z nimi pasał. Po paru dniach oswoili się z nim, i Józus wodził się z pasterzami, jak za dawna.

Znużenie opadło z niego, jak kurz, gdy wiatr zdmuchnie. Nie na marne też wyszły podbiady, dawane przez matkę. Ku pasterkom się z przyśmiechami zwracał — te zaś prześmiewały się z jego nauki.

— Tyle-ś casy w tych szkołach był, i co ci naucyli? Śpiewki-eś pozabacował...

— To se przybacę — starał się mówić w ich sposobie.

— Moze w seminariu? Tam by ci dali! Msię świętą kaza ci śpiewać...

— Coz to zawadza?

— A to, że teraz ci już o świeckich rzeczach nie trza myśleć.

— Widzisz, zebraku, ani na wesele nie bees mógł iść, ni na družbę...

— A das mi, Józus, ślub, jak księdzem ostaniesz?

— Dam ci, z jaką paradą! ino pockaj.

— A kie-z to będzie? Za rok, dwa? Bo mi sie śpiesy.

— Coz ci tak pilno?

— Gadaj mu ta o tem, kie on już jak ksiądz. — Jakże ty zebraku wytrzymiesz? Tak całe życie bez grzychu...

— Haj? od cegoz gospodyni? — pytała insza.

— Kie Józus ta nie taki... On już dziś jakby wyświęcony. Ino mu kółko na łbie wystrydz...

— Wiera tyz będzie ksiądz z ciebie! Ino tu prymicye zrób, pamiętaj, coby my sie wytańczyli...

Józus wstydził się tego przyszłego księdzostwa. Chciał im koniecznie pokazać, że on nie taki święty, jak myślą.

Najuparciej prześmiewała się z niego Kundzina Jewka od Królów. W zamian za te jej prześmichy począł ją śmiało słowami napastować. Nie gniewała się o to bynajmniej; to też Józus ośmiał się tak, że gdy jednego popołudnia przystali na chwilę sami na polanie, zagadnął prosto:

— Kaz ty legas?

Wiedział dobrze, że nocowuje przy kopach na sianie.

— E? — przedrzeźniła — coześ taki ciekawy?

— Bo bych przyszed ku tobie.

To przydź — kto ci broni?

Józuś uszom swym nie chciał dowierzać.

— Naprawdę byś mnie przyjęna?

— Jakże? Dy nie na śpas..

I zanieśła się śmiechem, który Józusia więcej niż słowa przekonał. Jak to dziwnie łatwo! — pomyślał sobie w radosnem zdziwieniu — że ja też, głupi, nie wiedział..

Przez cały ten odwieczny czas se nie mógł naleść z niecierpliwości krwi, myślą pokusną rozgrzanej. To do koleby zabiegał, to z pasterzami po hali się wodził, to za owcami uganiał — a wszędy za nim szedł śmiech Jewki, raje obiecujący. Na samą myśl tych rajów aż Józuś omglewał w ciele.

Nigdy dotąd podobnego uczucia nie doznawał. Choć miewał już różne. Kochał się w błękitnych pannach, spotykanych na nabożeństwach majowych, potem w kulawej córce pani, u której dwa roki mieszkał: były to miłości straszne — do »aniołów«; myślą bał się ich sukien dotykać. Później czystość swoją tracił w ofierze Lilith nieznanej, nago już w marzeniach śmielszych widywanej, aż stracił ją zupełnie w jakiejś ohydnej miejskiej nocy, gdzie go po maturze pijanego koledzy zawlekli. Prześladowało go to przypomnienie, jako sen przykry, niewyraźny. A oto teraz, tej nocy, ma się stać rzeczywiście, o czem śmiał śnić jeno...

I to naprawdę! bez żadnych ocyganień! Józus! czy ty nie zwaryjujesz pierwszej! — mówił sobie.

Miał wciąż na oczach Jewkę: jej postać krzepką, o twarzy ciemnej, przez którą ogień krwi przeświecał, z iskrami oczu, z rzędami białych zębów; o włosach czarnych, splecionych w długie warkocz, i piersiach, wyraźnie wzdymających katanę we dwa wzgórki... Aż oczy mgliły mu się na myśl o tych wzgórkach — odstonionych.

Wyobraźnia rozpalona nawodziła mu na zmysły obrazy noclegu, jaki chyba bogowie pogańscy mieć mogą. Z Jewką — przy kopie — na sianie!... Wszystko wobec tego wydawało mu się nudnem, nie wartem jednej uwagi. Całe życie jego dotąd nie miało — widział — sensu. Po to się trudził lat tyle, po to się uczył łaciny i greki, by oto zrozumiał wreszcie, iż jedno jest dobro, jedna mądrość: ujrzeć się z Jewką na sianie.

Nadszedł wieczór. Józus i wieczerzy jeść nie mógł — telo szczęściem czuł się napasiony. A wieczerzali pospólnie w kolebie. Za Jewką jeno oczami wodził, chwycił jej uśmiech każdorazny, jej spojrzenia — chciał się już upewnić w sercu, bowiem, im bliżej czuł się obiecanych rajów, trwoga go napastowała.

Wnet po wieczerzy poczęli się pasterze rozchodzić na spanie — każde do swoich kóp.

Józus ze drżeniem zbliżył się ku Jewce.

— Jakże będzie?

— Z cem?

— Ze spaniem... Cy mam przyjść ku tobie?

— Jak fces — zaśmiała się. I, zaodziawszy chustkę, poszła na halę wyżnią, gdzie nocowała.

Józuś został w kolebie ze starym Szymkiem, z którym tu legiwał. Skoro po jakimś czasie Szymek zabierał się do spania i klęknął do pacierzy, Józuś skierował kroki w pole.

— Pójdę wyrzeć na miesiącczek, czy wyszedł — rzekł w progu. Czuł tym razem potrzebę wytłómaczenia, dlaczego wychodzi. Szymek nie odrzekł nic, mówił pacierz.

Halą wyżnią nazywano skrawek równy w końcu hali, wyżej położony. Stamtąd widok był otwarty na wschód i na zachód. Tam Józuś skierował kroki. Idąc, dygotał całym ciałem, choć wieczór był ciepły — wzruszenie, nieznane dotąd, trzęsło nim, jak złodziej gruszą.

Skoro na halę wyszedł, rozejrzał się z uwagą, by nie zmylić. Księżyc wychodzący ledwo rozwidniał polanę. Na środku stało kilka kóp. Poboku jednej dojrzał posłanie i chustę ciemną. Zbliżył się z dygotem serca.

— To ty Jewciu? — szepnął, stając nad posłaniem.

— Ja. Coz fces?

— Przysedech ku tobie.

— To łącz.

Józuś czuł się, jakby go do nieba wpuścili. Rozpatrzył się po posłaniu i legł skrają, obok Jewki. Chwilę spoczywał cicho. Zbierał w sercu odwagę, oswajał się z rzeczywistością. A bokiem z ciekawością pozierał na Jewkę. Leżała na wznak, chustką owinięta, twarzą ku niebu.

W pobrasku miesiąca widział jej przyciemniałą twarz, oczy otwarte, wpatrzone w gwiazdy, błyszczące. Wydała mu się jakąś inszą, poważną, prawie że surową. Onieśmienie poczęło ogarniać Józusia, gdy patrzył w nią, tak w niebo wmyśloną.

— Gwiazda spadła... — szepnęła.

Józuś spojrział na niebo za jej wzrokiem, i znów ku niej powrócił oczyma. Nieznacznie przysunął się. Dygotał jak w febrze.

— Cy ci zimno? — spytała.

— Nie...

— Tak sie trzęsies. Moze ci dać trok chustki?

Odwinęła chustkę. Józuś podjął trok i skwapliwie się przysunął.

— Ciepłej ci?

— Ciepłej.

— To śpij. Abo patrz na gwiazdy. Widzis, co ich hań.. Jak iskry rozsiane. Więkse, i mniejsze, i mało co widne... O — jak sie mienią... Z czego one tyz będą? Nie wies? co? Jak was tam w skole ucyli?

— To są światy, takie, jak nasa ziemia...

— Głupi... światy... mniejsze od śpilki.

— Bo daleko, to sie widzą małe.

Dzieciom gadaj se takie bzdury, nie mnie.

Jednak ciekawe słowa Józusia nie dawały jej spokoju; myślała o nich, zapatrzona w gwiazdy... Józus zaś nie miał ochoty wyklądać jej astronomii. Chciał, by teraz o jego szkołach zapomniała, by brała go jak pasterza.

— To uca, ze tak daleko... — rzekła po chwili.

— Co ci ta o to... Śpijmy lepiej.

Przysunął się ku niej poufale.

— To śpij. Cy ja ci bronię? — odsunęła się — Mas doś miejsca.

— Kie ja chcę z tobą...

— Dyć ze mną śpis.

— Ale...

— Co za ale? Jak ci nie dobrze, to idź.

Patrzyła dalej ku niebu, a Józus, onieśmielony, pozierał na nią i czekał. Oczy jej pomału zaczęły się zwaćzać — sen ją nachodził.

— Jewka...

— Co?

Jewciu...

— Dyć słysę.

— Jewusiu...

— Coz ta jesce? Śpij, bo juz cas.

Józus nabrał w serce odwagi, wyciągnął rękę pod chustą i sparł dłoń na jej piersiach. Nie bro- niła mu. spytała ino:

— Muis tu rękę kłaść? nie uśnies inacy?

A Józus, czując pod palcami wzgórkę ciepłą, wznosząc się oddechem, rady sobie już nie mógł dać. Począł dłoń rozpaloną w zamroku pożądania przesuwać po jej młodem ciele. Ujęła mocno tę dłoń jego i odepchnęła.

— Leż spokojnie — rzekła ostro.

Ale Józus już na nic nie dbał. Płomieniał cały pragnieniem. I śmiałości strasznej nabral: Przecie go sama wołała... Cisnął się rozpalonem ciałem ku niej. Objął ją mocno rękami i począł szeptać słowa urywane: prośby, tkliwości, zaklęcia...

Krótko to trwało. Ani pół pacierza. Porwała się, odwinęła się z rąk jego niby z trawy leśnej i odrzuciła go na siano, jak smętla słabego.

— Coz tobie sie bazy, moi ludzie? To cie tego tam ucyli?! A spytałeś sie mie choć, cy cie kocham?

Poczem złagodziła nieco:

— Jakbych cie kochała, to co inzego. Ale co ty wies o tem.

Józus ledwo się osatał ze zdziwienia przykrego i z upokorzenia.

— To po co-ześ mie wołała na siano? — rzekł w gniewie.

— Na sianie kazdy spać moze. Miejsca doś. I nikt nie broní... Ale widać juz, ześ miasto przesed... No łąz-ze, łąz — dodała pobłaźliwie — nie smuć sie...

Ale Józus ani myślał ostać. Porwał się w zło-

ści z postania, poszedł po polanie aż na drugi koniec hali, tam długo siedział na pniaku i różne myśli przeżywał.

Skoro Józus, późnym już czasem wchodząc do koleby, skrzypnął drzwiami, Szymek stary podniósł kosmatą głowę z postania i, rozespany, spytał:

— Jakoz ta ten miesiącek... wysed?



85

POŁUDNIE

10

Jasiek z Zarębków wygnał woły na wierch Cieski, na polanę rozkoszną, schyloną jedną połącią do słońca, ku południowi. Stało mu się w sercu wesoło, jak zawdy, gdy tu wyganiał. Śródpołuń był. Słonko wytoczyło się z poza Jaworzyny i stało prawie nad czołem Turbacza, ciskając światło w roztoki, które się aż zapoczęły mglić od tej białości.

Powiódł radosnemi oczyma dookoła po słonecznych wierchach, po zamglonem na zachodzie widmie Babiej Góry, i oparł się aż na północy o lackie niziny, które poprzez sreżogę, zbłękitniałe, wydawały się rąbkiem dalekiego morza. A coś w nich, niby igły wież złocistych, lśniło. Starzy powiadali mu, że tam Kraków.

Dumą radosną porwany, zawiódł głośno:

„Hej!... jak ja se zaśpiewam
Na środku polany —
Ej — to mi odegrają
W Krakowie organy...”

Poleciało ku wierchom — zadźwięczało po bukowym lesie — rozjękło, rozniosło się po dalszych

uboczach — i Jaškowi zdało się, że słyszy echa dobyte z niewidzianych dalekich organów. Zaśmiał się szczęśliwym śmiechem.

Zajął woły i popędził je ku południowi w cień kraju, aby się pasły. Sam zaś legł w słońcu na polanie i, sparty na łokciu, wygwizdywać sobie począł a kerpce wytupywać jakąś melodyę. Po twarzy chodził mu uśmiech, niby kółka słoneczne, spadłe z gęstwy liści, a w oczach migotały ogniki lekkomyślne, zdrajce swawoli. Bo też jeno swawolne myśli mogły się plątać po tej pysznej głowie, nijaką troską nie ściężając.

Właśnie przyszło mu na pamięć, jak to tu na tej polanie w dzień Matki Boskiej Zielnej prasnął Józkiem, co go zwią Harnym, o ziemię — w oczach Hażbiety, pasającej teraz owce w przeciwległej uboczy, na Suhorze. I jak Hażbieta śmiała się i potem już ani pojrzeć na Józka nie chciała.

Skąd mu się wtedy telo tej siły nabrało? Przecie to chłop: jak i Józek. Od kiela roków wola-ruje. A tak się pysznił swoją siłą — widziało się, że niema nadeń harniejszego. I ukrocił go.

Przywodził na oczy całą tę walkę po szczęgółce: Jak się wzięli próbować za pasy, zrazu niby żartem, a potem i naprawdę. Hażbieta stała opodal i śmiała się. To mu dodało sił. Jak nie zawinie — jak nie siepnie nim — aż ziemia jękała. Spojrzał tryumfująco na Hażbietę — ta się dalej śmiała, jeszcze serdeczniej.

»Hej — pociesenie moje
Kany sie obraca?
Popod Obidowiec
Owiecki nawraca...«

Zaśpiewał sobie wysokim półgłosem. I, przechylając głowę w tęsknem zamarzeniu, popatrzył w stronę Obidowca — ku Suhorze. Patrzył długo, aż mu mgłą zasłał ubocz — a miał ją w oczach, jak żywą, śmiejącą się, jak wtedy. Nagle zerwał się z ziemi.

— Cy je tyz jest? Cy tyz juz wygnała?...

Podszedł parę kroków wyżej i wpatrzył się bystro ku Suhorze. Lecz las zasłonił polanę — nie widać owiec, ani nic. Jakby się tu dowiedzieć... Stanął se mocno, sparł się pod bok, odkrzypnął i zawiódł głośno:

— Ou-ho-ho-ho-ho... ho-ho-ho-hu!

Zagrało potężnie — poniesło się ku przeciwniejszemu uboczy.

Jasiek nadstawił ucha — nadśluchował.

Niezadługo przywiał cienki głos z Su-hory:

— U-hu-hu hu!

Jest. Poznał jej głos odrazu. Uśmiechnął się, jakby ją na oczy ujrział. I z tej radości zawiódł:

— Hej!... jak ja se zaśpiewam,
Jak ja se zawiedę —
Usłysz mie dziewczę,
Choć najdali będę...

Mało mu się widziało — dodał:

— Hej!... jak ja se zaśpiewam —
Puszę głos po lesie —
Pozna mnie dziewczyna,
Wiater ij doniesie...

Długo grało po lasach, po uboczach — a skoro
zcichło doznaku, przyleciało z Suhory:

— Hej!... wtedy ja cie wtedy
Chłopaku poznała,
Kiedyś bucki ścinał,
Ja owiecki gnała...

Jaśkiem aż zatrzęsło — jakby to wiatr dunął,
nie melodya tęskliwa.

— Dyć tak było. Jak sie to zda i śpiewka..
I na oczach stanęły mu te liście bukowe, na
których se ją przyniewolił, i te owce białe, które
ich obstały jako świadki...

Dużo miłośniej i jakby głosem nie swoim za-
śpiewał:

— Hej!... powiedz-ze mi powiedz,
Moja kochanecko,
Z za wtorego wierchu
Wychodzi słońcecko?

Jeszcze nie zgasły echa dźwięczne, gdy od Su-
hory przywiało:

— E jakze ja ci powiem,
Kie ja nie widziało —
Słońcecko wschodziło,
To ja jesce spała...

Stojąc oparty na ciupadze, ustami rozchyłonymi słowa miłe chwycił, i uczuł, jakoby ta melodia przyniosła mu zapach siana, na którym spała.

Nie miał już woli śpiewać. Obejrzał się za wołmi. Pasły się w kraju, w cieniu buczków, okalających polanę.

Leżał na ziemi do słońca i począł sobie znowu zcicha przygwizdować — ale mu nie szło. Owładnęło nim zleniwienie, zwyczajne o tym czasie. Zauważył, gdy oczyma zmęczonemi dookoła włóczył, że i woły powolniej trawę skubią — jak od niechcenia.

Słońce przetoczyło się z nad Turbacza ku Obidowcowi i stało prawie na południu. Nie grzało już, ale piekło jak płomień ogniska. Gorąco coraz większe się czyniło — skwar się w powietrzu wzmacniał. Nawet liście buczyny poskręcały się od żaru i dygotały.

Jasiek leżał na trawie, jak na rozpalonej nalepie. Pomyślał, że dobrzeby było zniżyć się do cienia, ale ruszyć mu się nie chciało. Kapelusz jeno nasunął na czoło, oczy przymknął i trwał jak w drzemce. Ale światło przedzierało się przez powieki i parzyło go w sam mózg. Bawił się zrazu tem światłem, bo rozmaite mu się przedstawiało: raz białe, raz żółte, raz czerwone... Myślał przytem:

— Taką cyrwoną spodnicę ma Hażbieta. Jak z poza buczków mignie, to jakby cary jakie. Co tyż to w tem...

I teraz na samą myśl czyniło mu się słabo koło serca — jak pod urokiem. Włada go odchodziła. W gardle uczuł suchość dziwną — pragnienie nagłe, uprzykrzone — aż oddech tamowało. Dźwignął się na siedzącko — popatrzył na świat — a świat mu się jakimś dziwnym wydał, jakby go coś przeinaczyło. Czary istotne... Każda rzecz ta sama, a nie ta. Liście jakieś zieleńsze — trawy złożone — i światła, światła potoki — lić jasna...

Przetarł oczy. Woły leżą — zwiękują. Czy to naprawdę te woły?

Zdała dobiegło żalosne wołanie kani:: »piić«!

Dumał wstać — iść ku wodzie — ale źródło daleko, na północnej stronie. Zbaczyło mu się, że w Potoku Skalistym jest agrest; późno dojrzewa — może już i dojrzeć. Ale i tam nie blisko. Pragnienie by go odpadło, nimby doszedł.

Wyciągnął się z powrotem — gdy pragnienie przywiodło mu na smak maliny. Są we wrębie, w uboczu. Począł je w myśli rwać i smakować. Przypomniało mu się zaraz, jak to mu kiedyś Haźbieta przyniosła w podołku malin. Słodkie były... Począł wspominać to i insze — i obraz jej, jako żywy przedstawił mu się w oczach. Leżąc na mchu wysokim, w słonecznej spiece, kusi go śmiechem, oczami i całą sobą rozkoszną...

Porwał się z ziemi — skoczył do kraja — zajął woły i miał je gnać ku Suhorze... ale pognął je na stronę północną — ku wodzie.

Napoił woły w studziencie i sam się napił. Po-
tem siadł koło studzienki, a woły się po młacie
pały.

W cieniu nabrał rzeźkości — siły mu wróciły -
dumał zatem, coby tu wymanić, bo mu się cnać
poczynało. Ścinałby buka, ale nie wziął ze sobą
rąbanicy — ciupagą nic nie poradzi.

Wstał — rozprostował ręce, aż zachrzęściały
w stawach — spróbował-by się z kim... Ale tu po
tej stronie, widać, nikt nie pasie. Huknął w dół
ku roztoce — nikt nie odpowiedział.

I znowu idąc z wołmi pomału pasęcy, wyszedł
na wierzch Ceski.

Słońce posunęło się nad Suhorę — śródwie-
czerz się zbliżał.

Jasiek odrazu oczy tęskne ku Suhorze zwrócił,
ale słońce nic nie dało widzieć. Zaledwie poprzez
gęstwę wpływającego ku roztoce światła las smre-
kowy majaczył.

Naraz stamtąd przyleciał znany dobrze głos,
jak wiaterek gorący z południa:

— Hej! przyjeźdź, Jasiu, przyjeźdź,
Abo przyptęj wodę —
E bo moje serdusko
Saleje za tobą.

Jasiek też wartko odpowiedział:

— Hej! podej-ze mi rękę
Na zieloną łąkę —

E podej-ze mi obie,
Pomówimy sobie...

I zaśmiał się w sercu. Niezadługo przywiało
od Suhory, ale dużo smętniej:

— Hej!... próżno ciebie, Jasiu,
Moje ocka płacą —
Jak przydę ku tobie,
Owce się potracą.

A on, jakby już dawno nosił w myśli radę,
odśpiewał z potuchą mocną:

— Hej!... zezyń owce na dół,
Ja wołki zezynę —
Zejdziemy na drózkę
Popod jaworzynę...

Gdy echa pocichły, nadśluchował pilnie. Za
chwilę dopiero ozwało się, jak granie najmilsze:

— Hej!... dyć to już śródwiecz, —
Minęło południe —
Kochaj mie, Jasieńku,
Ale nie obłudnie...

Roześmiał się serdecznie, jakby ją miał przed
sobą — z miłością w oczach i z tem zastrzeże-
niem. I głosem, w którym uśmiech drgał jeszcze,
odśpiewał:

— E nie bój-ze sie, nie bój,
Dyć ja przecie nie zbój —
Nie zbój, nie zbójnicek,
Ino pacholicek.

Stał cicho i słuchał, czy mu jeszcze słów ja-
kich nie przysłe. Za chwilę odzew jeno przypadł —

krótkie: »U-hu-hu-hu«! Zmiarkował po głosie, że mu je już z uboczy przesłała. »Zgania owce« — powiedział sobie radośnie. Czempředzej zajął woły i gnał je w roztokę — naprzeciw. Z lasu już posłał odzew.

Przedarł się z wołmi przez buczynę i gnał rzadkim lasem. Gałęzie jeno pod nogami trzeszczały, i odzywało się niekiedy w głowicach drzew gruchanie gołębi.

Przechylił się na drugą stronę zbocza i posłał odzew Hażbiecie. Naraz, jakby w odpowiedzi, dobiegł jego uszu śpiew żałośliwy, cienki — od strony innej — ze Spalonego:

— Ej, nie wierz chłopcu, nie wierz,
Choćby w ogniu leżał...

Dalsze słowa straciły się w żałości. Poznał odrazu głos Tekli, którą łośńskiego roku na Spalonym, pasąc z nią woły, przyniewolił sobie, a potem jej odniepadł dla Hażbiety.

Widząc, że go poznała z daleka po głosie, i że jemu tak śpiewa — odrzucił z pyszna swawolnie:

— Hej, dawniej tom cie widział
Bez dziesiątą ścianę —
Dzisiaj cie nie widzę,
Choć przy tobie stanę.

Na to przywiało ze Spalonego:

— Ej, pamiętaj se, Jasiu,
Stanies na sąd boski —

Bedzie on ci, bedzie,
Mój wianeczek gorzki...

Już nie odpowiedział. Natomiast wartko zawrócił woły i przesłonił się od tej strony zachyleniem leśnem. Gnał jakiś czas w milczeniu — o skoro widział, że się już dość od Spalonego oddalił — począł sobie przygwizdywać dla śmiałości serca i potuchy. Już też zbliżał się ku roztocie... Tu doleciał go — już z niedaleka — szukający go głos Hażbiety:

— Moje pocieszenie
Na który jest stronie?
Cy na ty, co i ja,
Cy sie ze mną mija?...

.....

Słonko już dobrze schowało się za wierch To-
bołowa, i mrok zakradał się w roztoki, gdy w ubo-
czy pod Suhorą zadźwięczało przy smętnem tur-
likaniu owiec:

— Hej!.. juz sie zachmurało,
Kany świtać miało —
Juz moje kochanie
Z wiatrem poleciało...

A od Spalonego poniesło się żałośliwe śpie-
wanie ku Cesce:

— Hej!... bodajby cie było
Na świecie nie było —
Nie widziałabych cie,
Nie zał-by mi było...

A Jasiek ze Zarębków gnał napasione woły
ku kolebie i przygwizdywał sobie — po twarzy
przebiegał mu uśmiech lekkomyślny, a w oczach
migotały ogniki swawolne



38

Jaś z nad brzegu.

100.

Pisał się górnice „Jan Wierchowy“, mówiono o nim „Jaś z nad brzegu“, a wołano na niego zwyczajnie „Jaś“, choć mu już szło ku trzydziestce, bo był wszystkim oczom miły.

Już też nie było nadeń we wsi parobka honorniejszego. — Kiedy w niedzielę słoneczną, odziany w białe cyfrowane portki, w biały, nowiutki serdaczek, w chazukę czarną, pięknie stamentem z brzegów wyszywaną, w kerpcach misternie szytych, bryzowanych, w koszuli jak śnieg białej, w kapeluszu z białymi kostkami, honornie na bok pochylonym, szedł kamieńcem na sumę do kościoła, widno się aże czyniło od niego.

Dodawala jeszcze uroku postaci twarz biała, światła, gładko ogolona, mile do ludzi wszystkich uśmiechnięta.

Serce miał dobre, czynne; był walny, jak mówiono. Do każdego, bogaty czy biedny, przyjaźnie się odnosił, każdemu umiał coś miłego powiedzieć.

Pytano go chętnie czasu wesel na drużbę, bo umiał jak nikt prosić, nikt się jego słowom i przyśmiejchom nie zdołał oprzeć.

Miał brata żonatego, który dzierżył pół gruntu. Druga połówka przypadała jemu. Ale więcej krawiectwem niż gazdowstwem się trudnił; robił chazuki, portki, a cyfrował je tak pięknie, że daleko na okolicę miał z tego słynę.

Nie żenił się, choć wszystkie oczy dziewcząt — swe, czarne — śmiały się do niego. Chodził od lat ślebobdnie wszystkimi chodnikami, jakie mu zachcenie lub fantazja wskazały — parobkował.

Znał całą wieś i wszyscy go znali.

Przy każdym święcie, jarmarku pełno Jasia było wszędy, na rynku, w karczmie.

Wciągał do szynku, kto mu pod rękę podpadł, częstował wokół, poił.

— Moi mili, kochani...

Wielu ludzi było w karczmie, szanował wszystkich. — Kiedy ścisk się w izbach robił, jak w kościele, że do szynkwasu trudno się było przepchać, wstrzymani w progu mówili z uśmiechem pochlebnym do nadchodzących:

— Jaś pije...

Jaś pił i płacił za wszystkich. Miał przyjaciół wszędy, gdzie się pokazał. „Jaś, Jasia, o Jasiu“ — dzwoniło naokół po wsi, schlebiało jego sercu.

Tak lata szły, mijały. Jaś cieszył się przyjaźnią ludzi — ludzie częstunkami Jasia. I wszystkim było dobrze. Ale nie bardzo.

Grunt topniał, zastawiany po kawałku, to od-sprzedawany bratu, który korzystał chytrze z różnych chwil miętkości Jasia i odkupywał kawałki za bezcen.

Jaś zauważył pochyłość, po której zsuwał się nieznacznie a stale, lecz nie mógł się już wstrzymać.

Gdy gruntu nie stało, jaś przepijać las.

Nadszedł dzień wreszcie, że brakło Jasiowi pie-niędzy i kredytu. Zaczął się tedy obzierać na ludzi — ale ci jakby się nie dorozumiewali, o co chodzi.

Zauważył ze zdziwieniem, że go inaczej teraz zaczęto traktować. Nie wołano go, jak zwykle, gdy się w progu karczmy jawił, nie proszono go ku so-bie, nie częstowano. Nikto się nim nie interesował. — Jakby się nagle w obcej wsi zobaczył. — Gdy zbli-żył się nieproszony ku jakiej kompanji, siedzącej za stołem, nasłuchiwał się tyłu docinków kłujących, że odchodził ze wstydem i bólem.

Jęła się w sercu jego dźwigać złość, której do-tąd nie miał. Przemagał się jednak. Chciał z ludźmi witać się, jak dawniej, ale go często nie zauważano lub odpowiadano skinieniami ledwo, jak z łaski.

— Ho, ho, cóż to jest?

Jaś przyjrzał się ludziom lepiej i jakby oma-mienie z oczu jego spadło. Gniew go obujął. Za-czął prawdę mówić w oczy, ktobądź był, nie prze-bierając. I tykał wszystkich żajedno.

— Ty myślisz, brzuchacz — mówił do wójta — że nie wiem, za czyje pieniądze balujesz? Dobrze ogoliłeś gminę przy kupnie lasu.

— Ten zelator — znów o przysiężnym naczynie — co sie naraz z dwóch ksiązek modliwa, tak myśli okpić Boga, jak bratańca, co mu grunt zajął.

I tym podobnie. Wytykał wbrew, co go jeszcze więcej od ludzi dzieliło.

Roboty miał coraz mniej, bo trafiło się, że zadatek przepił, a nie zrobił. — Kto chciał mieć przezeń zrobione odzienie, brał go na czas roboty do domu. — Otrzymawszy zapłatę, pił, dopóki starczyło.

Teraz pił już ze zgryzu. Pił sam. Nieraz przez tydzień nie opuszczał karczmy.

Gdy tak samotny w rogu szynkownego stołu z głową opartą na dłoni w posępie osieroctwa siedział, imały się go marzenia, których dawniej w umyśle nie miewał.

— Cóż mi to ta wieś? — mówił głośno. — Nudy! Człowieka nie uświadczy. Jakieś sietniaki pokraczne, a byli tu drzewiej ludzie — ho, ho — tym sie ani przymierzać! Stał se taki w uboczu, gwizdnął — kierdele owiec za nim, jak płatki śniegu. Sypią się, sypią, bieluśkie. Z wierchu na wierch, jak sięgnął, siekierkę drugiemu podał. A jak szli gromadą, w kupie, to jakby szedł las. Wesele jak jechało, to powietrze sie trzęsło. Byli ludzie! Hej,

hej, ka się to wszystko... Może i są jeszcze kany — bo czy to tu świat?.. Świat jest tam — poza morzami — na cypryjowym brzegu...

— Co, Jasiu, pleciesz — ktoś powiada. — Jaki cypryjowy brzeg?

— Co ty wiesz o świecie? — obruszył się Jaś.
— Coś ty widział? Płot ze swojego okna. Tns sie ulegnął, tu umrzesz i tu cię pochowają. A świat sobie tam rośnie — wielominy kwitną...

— Jakie znowu wielominy?

— Drzewa, mój bracie. Takie drzewa, co same śpiewają.

Uśmiechał się ów wzdurliwie i odchodził za swojemi sprawy, ostawiając Jasia marzącego.

Ktoś, co z Ameryki wrócił, przyniósł taką skrzynkę, że gdy się do niej przez szybki wprawione patrzyło i pokręcało z boku umieszczoną korbką, można było różne miasta i kraje uwidzieć.

Nasz Jaś potela zabiegał, pokił tej cudoskrzynki na własność nie zdobył. Tedy, siedząc w karczmie, patrzył w nią przez szkła godzinami, zwiedzał dalekie kraje, wojażował.

— Cóż tam, Jasiu, widzisz? — pytano kpiąco.

— Przypatrz sie. Wieża... Cudo dziwne. Stoi, a leci.

— Edyć.

— Miasto na morzu... — objaśniał znów.

— Hale — na morzu... To ino łudzi sprzęty takie.

— Ostaw! — odbierał skrzynkę. — Nie każdy godzien świat widzieć.

I wojażował sam. Z czasem znał tak miasta i kraje, które oczami i wyobraźnią zwiedzał, iż opowiadał o nich, jakby tam był. Wkońcu sam wierzył, że tam był w istocie.

— W New-Jorku takie domy, jakby wieżę na wieży postawił. Na piętra kolejkami wyjeżdżają. Widok na mile dokoła. Ja mieszkał na ostatnim piętrze. Jak-ech pojrzał z góry, to sie widziało, że mie zemgli. Ludzie na dole mniejsi od pcheł.

— Abo w Madrycie... co za miasto! Gmachy, pałace, traktyjnie... Wszędy ścisk, pełno...

— Czemuż tu siedzisz, kiedy tam tak?

— Ja tu ino do czasu, poki co nie zaświta. Pojadę. Świat znam. Co mie tu trzymać może? Tu nijakiej przyjemności...

— Ożeniłbyś sie, Jasiu — żartował ktoś uszczypliwie, bo żadna by już zań, podupadłego, nie wyszła.

Na to Jaś obruszony:

— Co mi po tych tu dziewczkach, co to ani składu, ani światłości nijakiej. Nie takie ja miał! — poszedł za marzeniem. — Raz we Widniu, kiedych przechodził przez ulicę — a widno mie było, bo-ch sie niósł wysoko — patrzę: przejeżdża powóz — bielutkie konie, jak mleko — stangret, panie święty,

w luberyi — w powozie siedzi hrabina. Już mnie ujrzała. Kiwnęła na mnie palcem, kazała stanąć i wzięła mnie do powozu. Pojechali my do niej do pałacu. Tam mnie gościła — wszystko było, co ino dusza zaprażyła. I mógłbym być zostać przy niej, bo mnie puścić od siebie nie chciała, ale mi się sprzykrzyło — na trzeci dzień-em uciekł. Szukała mnie, goniła — nadaremnie. Już-ech do niej nie wrócił.

— Abo znowu... kiedyś stawał na warcie przed Burgiem, to sama cysarzowa — pojmujesz to? — do mnie przez okno kukąła. Co spojrzę do okna w górę, to — widzę — firanki się ruszają. Tam stała. A nieraz było, jak na spacer szła i przechodziła koło warty, to mi guldena do ręki wstusiła — tak pochychnie, coby Stary nie widział. Tak, mój ty — różnie było. I jaby ci tu za dziewczkami patrzył...

Co Jasia trzymało jeszcze, prócz marzenia, gdy go wszystko inne odeszło — to wiara.

Raz o ómie czarnej zdążył przez rynek do szynku. A był już przynapity. — Ani pół kroku przed stopą nie widno. — Dopłatał się ścian i, macając dłonią, tak się z mozołem posuwał. Nareszcie dobił do drzwi, pchnął — buchnęło światło na niego. Zdjął kapelusz, podniósł ręce do góry:

— Dej Boże, cobyh tak do nieba trafił.

A raz znów zabrał się z karczmy — już było po północy — o swej godzinie do domu. A że noc była ciemna i rzeka po deszczu wezbrała — zaś dom jego stał nad brzegiem za wodą — karczmarka dała mu latarkę. Przyszedł nad wodę ku ławie — woda już ławę opływała. Nie cofnął się jednak — wszedł i, dzierżąc latarkę w rękę, posuwał się po oślizgłej belce. Aliści, gdy doszedł do połowy, skiełznął — wpadł do wody i płynie... Jednak, tonąc, podnosi rękę z latarką do góry i woła:

— Matko Boska! Tu mnie masz!

Świeci, aby widziała, gdzie go ma ratować. Matka Boska go też zratowała: — ocalał.

Były misje w parafii. Jaś trzymał się na boku, bo wiedział, że do ślubowania od wódki nakłaniać będą, a toby mu z trudnością przyszło. — Jednego dnia kupił sobie w karczmie graniatówkę okowity i szedł koło kościoła do domu.

Właśnie na cmentarzu przykościelnym miał misjonarz kazanie o pijaństwie. — Jaś z ciekawości podszedł i stanął koło furtki, flaszkę w kieszeni dłonią przytrzymując.

Ksiądz woła z ambony, zwrócony ku niemu:

— Nie dość ci, że się w szynku upijesz, jeszcze do domu niesiesz...

Jaś się splómił i strwożył.

— Dy on wierutnie wie.

Poszedł poza plecyma ludzi i stanął se opodał za drzewem.

Aliści słyszy, jak ksiądz, w tę stronę zwrócony, powiada:

— Kiedy Adam zgrzeszył, to się skrył za drzewo...

Jaś się przeląkł w sercu.

— To on mnie i tu widzi.

Wycofał się poza mur cmentarny, wyjął z kieszeni graniatówkę i roztrzaskał ją na kamieniach. Poszedł w skrusze ślubować.

Czas jakiś nie pił.

Był, jak pniak, wyrzucony z wody na brzeg, zbiedzony, smutny. Dokuczali mu ludzie, zapraszając go pozornie do kompanji. Odpowiadał wzgardliwem spojrzaniem.

Wreszcie jął pić na nowo.

— Bóg widzi Jasia — mówił sobie. — Widzi jego serce. Chce zbawić, zbawi. Wszystko On przenika: wie, kto osiust, a kto ino udaje dobrego.

Gorycz napływała weń, coraz to głębsza. On, który dawniej miał tyle słów przyjemnych dla ludzi, mało się teraz odezwał do kogo. Już i marzyć głośno przestał.

Pewnego razu rzekł stanowczo:

— Ja pojedę do Ameryki.

— Po co? — zapytał ktoś.

— Bo ja chcę na morzu umrzeć.

— ??

— Bo ja tym ludziom tej przyjemności nie
sprawię, coby ja im tu umarł.

Do takiego osądku doszedł wkońcu wszystkim
dawniej życzliwy Jaś z nad brzegu.

JAK JĘDREK ŚKLARZ
PO WŁOCHACH JEŹDZIŁ

45.

22

Jędrrek Sklarz, młody gazda, pojechał do Ameryki. I całe lato minęło, a nie dał znaku o sobie; ani do żony nie napisał, ani pieniędzy nijakich nie przysłał. Aż niespodzianie pod jesień przyjechał. Zaraz gruchnęło po wsi — i w najbliższą niedzielę zeszli się ludzie bliźsi do jego chałupy wywiedzieć się, jak tam co porabiał, dużo pieniędzy przywiózł i usłyszeć ciekawości o morzach, o ładach. Po przywitaniach zaraz jęli się go rozpytywać:

— Jak tam w tej Hameryce? Jak wam się tam wiedło?

— Ja nie był w żadnej Hameryce.

— To-ście ka byli bez teli cas?

— Ja jeździł po Włochach.

— ? ?

— Coz tak patrzycie... Gadam wam, zech po Włochach jeździł. Byłech w Tryjestrze, w Wenecyi i Bóg wie jesce ka. Ale musę wam skraja opedzieć...

Poprzybliżali sie. Żona Jędrzka też się przybliżyła, choć już słyszała tę całą opowieść. Jędrrek urósł w jej oczach. „Do Hameryki to sie

tak widzi, jak za miedzę. Kazdy tam jedzie. Ale do Włoch!... To ino jeden ksiądz probosc tam był, i teraz jej chłop drugi“.

Jędrek Śklarz bez dużych próśb opowiadać począł:

— Jak wiecie, wybieralech się do Hameryki. Ale ze to wsyscy jadą bez Hamburg, ja se udu-mał pojechać na Tryjestr. Bo ja już taki wse był od casu przekorny. No i nie wiem, jakim cudem zwiedzieli się o tym moim zamiśle w Tryjestrze, bo mi przysłali papiery, jak, któredy mam jechać, i pisali, coby ino pieniądze posłać, to tam już będą cekać na mnie ze sifikartą i zabierą mnie ze sobą na morze. Ja tez, duchem świętym nie natchniony, usłuchałem dobrej rady, bo mi się taka widziała, pieniądze posłałem naprzód i pojechałem do tego Tryjestru.

Przyjeżdżam tam, wysiadam, obzieram się po stacyi — nikogo nie widzę. Już mi coś w serce pikło. Ale nie tracę humoru, chodzę tu i tam, popatruję — nie, nik sie nie nawija.

Idę na miasto, spytuję się, ale trudno się z niemrawcami zgwarzyć. Jeden pojrzy, rusy rękami — odejdzie; drugi tak samo; trzeci coś zamamrota — kabyś go zrozumiał; a jest i taki, co się oześmieje. Mnie już złość porywa — myślę se: „Kieby tu moje były rządy, tobych was nauczył, jak się do cłeka porządnego gada“. Na szczęście trafił się Słowiak, i ten mi dopiero pokazał, jakech mu opediał wszycko, kany się

mam udać. Zachodzę — gmasysko wielgie, jak ministryjo, drzwi moze ze sto: do ktorychze tu zapukać...

Pukam skraja, wchodzę, powiadam jak i co — posyłają mnie dalej — tam to samo.

I tak do dziesięci razów. Nareście niby trafiłech. Powiadają mi: Było tu coś, ale niewiadomo, ktoś — powiada — papierów zażądał, ale pieniądze — powiadają — nijakie nie przyszły. Tak-ech zrozumiał niby z tego, co w jakimś języku gadali.

Ja tez wpadł w złość — co myślicie, na taki interes — jak nie zacnę teremtetować!... „Cy ja was sukał, psie jakieś? Kto mie do jazdy namawiał? Ka pieniądze? Oddejcie mi tu zaraz, bo jak nie, to...” Juz nie bacę, com im ta powiedział, bo sie strasznie zhonorzyli, zech to ich niby obraził, i wypchnęli mie na ulicę, powiadając, ze jak drugi raz tam przyde, to mie do policy oddadzą.

Zeby to było tu ka blizej, w Nowym Targu, abo w Sącu, tobych tak prał był skraja... Ale coz — tam miasto wielgie — narodu moc — wspaniałość strasecna... Moze jaki cysarz akurat przejeżdzać. i ujrzy, i bedzie źle. Potem przyszło mi na myśl: „Kazby oni pieniądze zacyganili, kie to widać państwo duze. — takie gmasysko, jak dziesięć kościołów — urzędniki powazne, jak u nas starosty... Kto wie, moze pieniądze w drodze ka zginęły, moze jesce nadej-

dą... Ale jakże ich przeprosić, skorom ich tak skłął? No moze — myślę — na jutro sie udo-bruchają...

Posełech w miasto, natrafiłech na restoura-cyę i z tego strapienia opilech sie tak, ze nie bacę, jakiech noc ka przebył, bo-ch sie na drugi dzień nalazł, sam nie wiedziałech ka. Zgrata-łech sie i patrzę — jakzeby mie kto pałką w łeb uderzył... Ratunku! Wsyscy święci!... Ka oko dojrzy — woda, woda i woda...

— Toście sie pewnie nad morzem naleźli? — wtracił ktoś ze słuchających.

— Juści ze nad morzem. Ustałech, uduma-łech — ba! kanych ta dumał! — patrzyłech sie poprostu zgłupiały... wreście myślę:

— Bedę miał cas patrzeć jak pojadę.

Skierowałech się ku miastu. Jeść mi sie za-chciało; mam wstąpić ka do jakie restouracyje — ale mie cosi w serce pikło, pomacuję po kie-seni — oho! bedzies-ta! piniędzy nie cuję. Su-kam dalej po sobie — do ostatka nima. A mia-łech jesce ze sobą kielkanaście srebla na wypa-dek. Co robić? Stoję głupi, i coraz mi jest go-rzej. Wnetbych był siadł na ulicy i płakał rze-wnemi łzami.

Przewyciężyłech sie wreście. No darmo — niesczęście. Posełech prosto ku tej stronie, ka-nych miarkował, ze panów wcorajszych najdę. Nałaziłech sie niemało, ale-ch wreście nalazł. Ino mi już było duzo nieśmielej, gdych wcho-

dział. Wcora miałech choć trochę przy sobie, a teraz bez grajcara — widziało mi się, iż kazdy wie o mojej zgubie. Przyjęli mnie tak, jakzeby mnie piersy raz widzieli, nik wcorajszego nie przybacył, ino nie chcieli ze mną gadać. Co ja do ktorego, to ten się odwraca — i tak z koleje. Prosem ich najpiękniej jak mogę — niktora psia nie słysy. W końcu ich już ze łzami prawie molestuję... Dopieroż naostatku pokazali mi drzwi — i na tem koniec. Wysełech na ulicę, jak całkiem pijany. „No to już amen“ — myślę sobie — „teraz-eś już, Jędrzku, gorsy, niż najostatniejszy zebrak. Piniądze dyabli połknęli, i teraześ już na boskiej opiece. Kany się rusys? W jaką stronę? Ani drogi nie wiesz nazad bez tego krajów, ani o cem iść, choćbyś i na piechty wracał...“

Tak biadałech nad sobą, popłakując, i błakałech się po mieście, zgłodniały. Potem do Pana Jezusa, do wszyckich świętych, ka jeno jaki jest, mówiłech paciorki, coby się złutowali na demną i wydobyli mnie z te biedy.

I, widać, wysłuchał mnie któryś ze świętych lutośniejszy, bo usłyszałech naraz naską, wyraźną mowę — ino ze z pańska — zapytanie:

— Skąd-ze wyście?

Aże mi serce skoczyło z radości. Pojrzałech, i widzę przed sobą osobę ślachezną — no pan był jednym słowem, a mnie się wtedy przywi-

działo, że janiół z nieba umyślnie posłany, coby
mie zbawieł.

— Ja, prosem pięknie ich mielőści jaśnie wie-
lemoznego pana, ze Saflar, od Zakopanego.

— Zaraz-ech was — powiada — po stroju po-
znał. A coż wy tu — pyta sie — robicie?

Ja mu tyz opedział skraja cała, jak była, hi-
storyę az do ostatka. Wysłuchał grzecznie i po-
wiada:

— No to coż teraz myślicie?

— Nic nie myślę — odrzekę — ino cekam
opatrności, moze sie zmiełuje...

Popatrzał na mnie, obejrzał mie od kyrpców
do kapelusa.

— Ładny — powiada — strój macie...

— E tak ta, nieostatni... (u)

Uprzypatrował sie mi jesce, dumał cosi, udu-
mał, wręście powiada z wysoka (juz mi nie
dwoił):

— A nie zgodziłbyś się do mnie za lokaja?

— Hm, cy ja tyz wiem... — odrzekę, a bar-
dzo mi sie niemile zrobiło. Lokaj, to juz naj-
ostatniejsza służba. Odzywam sie nieśmiało:

— Ja by tyz chciał ku chałupie sie dostać...

— No dobrze — powiada na to, trochę przy-
chmurzony — dostaniesz sie du domu. Sam cie
zawiezę, bo i ja do Zakopanego pojedę tem la-
tem. Ino teraz jadę do Włoch; mógłbyś ze mną
pojechać, powiada, przydałbyś mi sie w dro-
dze...

— Ho, jak tak, to z całym sercem przystaję!
— zawołałech. Choć-ech ta i nie wiedział, kany
te Włochy, ani choć mi ta i nic o zasłudze nie
napomknął. Taki pan jasny — pomyślałech —
to mie nie skrzywdzi. Pocałowałech go w rękę.

— No dobrze — powiada — ino stroju nie
odmieniaj.

Pocozbych odmieniał — rzeke — zreśta
i ni mam za co...

Dał mi zaraz na obiad i pošli-my oba wraz —
to jest niby on naprzód, a ja na zadku, bo tak
mi nakazował chodzić — do hotelu.

Taka, moiściewy, była opatrność na mnie,
co mie po Włochach obwiezła.

— Straśnie ciekawe rzeczy powiadacie —
wtrącił ktoś ze słuchających, gdy Jędrak przer-
wał — ale coż było w tych Włochach?

— Dowiecie sie, ho, ho, dowiecie sie niemało,
ino bądźcie cierpliwi. To dopiero pocątek. Na
cem ja to stanął? Aha, jak my do hotelu pošli.
No nic, w hotelu jak w hotelu. Ja sie plątał, ka-
nych mógł, a pan sie gotowieł do drogi. Kazał
se dziewczynę przywieść, coby mu bieliznę po-
układała....

— A od czego-eście wy byli?

— Ja był tak — więcej od parady. Bo potem
sam mi powiedział, jak my sie juz spoufaliłi ze
sobą, ze mie przyjął do służby latego, zech
miał góralski strój na sobie, coby sie ze mną
niby po Włochach przekazać, jako ze to jego

ćlek jest, a taki siumny. Miał tyż postanowienie ożenić się ka bogato, jakby się trafiło, to musiał mieć, jako ćlek ze ślachtetnego rodu, choć jednego ze złuzby na pokaz. A jużby ta, niechwalący się, lepszego nie znalazł.

— No dyć, nima wam co pedzieć... i z urody, i z charakteru... Jakże dalej z tym panem?

— Przenocowali-my w hotelu, i raniutko na morze.

— Jakto, na morze?...

— No na okręt, niby na sif po naskiemu. Strasznie wielkażna machina, kościół by na niej mógł stanąć. Dzieli się na dwie klasy: po jednej stronie siedzą lepsi, po drugiej zaś pośledniejszy naród. Ja był po tej lepszey stronie. Zaraz, jak my ino rusyli, stanąłech se przy poręcy i nie mógech się dość napatrzeć. Jakby wam to przedstawić... to tak wiecie, jakby natenprzykład całą dolinę nowotarską zalała, cego Boże nie daj, woda, a my po niej z tą chałupą płynęli...

— To musi być strach!

— No, zaś takiego strachu nima, bo na okręcie śmielej. Ale zawdy niepewniej, niz na lądzie. Wnet my odjechali tak, że nika brzegu nie było widać, ino niebo i woda...

— Ej, Boże! — szepnęła trwożnie żona Jędrzka.

— Wiatier dmuchał od zachodu, to się zgurby na wodzie tworzyły, i okręt się kołysał, az się

na wewnątrz niedobrze robiło. Pocęły się we wodzie pokazywać rozmaite wieloryby...

— Jakież to te wieloryby?

— Straszne potwory. Pływały za okrętem i ożdziawiały pasceki, jak otchłanie ciemne — jakby cekałyino, rychło im co wpadnie. Ja się tyż cofnął, bo coż będę Pana Boga kusił, i zbliżył się ku środkowi. A tu tymczasem kielkoro ludzi zachorzało na taką słabość, co się morską chorobą nazywa. Upatruję mojego para — a ten nieborak tyż. Naselech go leżącego w taki mizeryi, że mi się aż zło zrobiło. I wstyd mi było przy ludziach, bo strasznie nie po pańsku biedota wyglądał. Siadłem nad nim i myślę se: „Jak mi tyż nieborak zemrze... uchwaj Panie Jezusie... co wtedy robić? Cheba zabrać te kufry po nim na pamiątkę wracać nazad ze załem...” Ale przecie dał Pan Bóg, że przysel pomału do siebie. Jak my do Wenecyi dojeżdżali, to już był całkiem zdrowy.

— Kanyż to ta Wenecya?

— Jakże wam pedzieć... we Włochach, ale jesce na morzu... Miasto takie, jakiego na świecie nima.

— Jakże to-na morzu?...

— No na morzu tak stoi, jak inse na lądzie. Zamiast ulic, to woda, i zamiast fiaków, to łodzie po mieście jeżdżą.

— To dziwy...

— Mnie tyż samemu cudno było, jak oni to

zbudowali, ki dyabeł im dopomógł, bo to przecie nie na człowieka patrzy, choćby i nie wiem kielo miał rozumów.

— To tam niebezpieczno być musi, jak dyabeł fundamenta kładł.

— No, ale już poświęcane. Kościołów tyz kielka stoi...

— Byliście w którym?

— Byłech we wsyćkich prawie, bo mój pan był strasznie nabozny, zadnego nie wyminął, co-by nie wstąpić. Zawdy nosił przy sobie cyrwoną ksiązkę do modlenia i modlił sie z te książki przed kazdym prawie ontarzem; casem dał mi ją na mieście, cobych niósł, ale ja na niej nic ni mógł zrozumieć, bo po niemiecku była durkowana i jakiesi niemieckie obrazki w niej były; prześlabilizowalech ino na okładce jedno wyraźniejse słowo: Bae-dec-ker; ale tyz nie wiem, co miało oznacać.

Kościóły tam bogate, ze samego marmuru stawiane. Jest tam jeden kościół, pod wezwaniem św. Marka, co ani opowiedzieć jego wspańności. Co ino kany pieknego, to zwieźli na ten kościół — i taki aze ciężki od tych bogactw. A na wierchu ma trzy banie, znowu takie letkie, jakzeby żywcem z pajęcyny były wydmuchane.

Ale nie ino kościóły, bo i pałace wsyćkie takie strojne. Nic nima, zadnego domu, co by po prostu tak był postawiony, jak wsędy u nas po

miastach, ino na kazdym jakiesi wydziwy, ze sie napatrzeć temu nieurada.

To we dnie. A cōz dopiero wieczór!... Jak po-zaświecają elektrykę, jak sie to wszycko olśni, poozłaca, jak te światła powpadają słupami we wodę — tak, ize całe miasto, widzi ci sie, na ognistych słupach zbudowane — jak do tego jakieś pokusy dyabelskie zacną grać i śpiewać różnie na jakichsi mostach pływających, pou-bieranych w gierlandy — to sie widzi: raj na ziemi... Ani takiego snu człowiek zwyczajny za zycia mieć nie godzien.

Ja tez panu mojemu wydziękować ni mógł, ize mie zabrał ze sobą. Człowiek-by zycie zezył i nie wiedziałby, ze takie cuda dziwne są na świecie.

Nie dziwota, ze tam panowie zewsząd przyjezdza. I w tym casie, kie my byli, było ich tam dość; najwięcy niemców. Pan mi powiedział, ze po ślubie młode państwo zwyczajnie tam przyjezdza.

Jednego razu pojechalimy oba z panem na łódce na morze... Po drodze spotkalimy tyz łódkę — pozieram i widzę: siedzi w niej dwoje ludzi starych, moze koło siedemdziesięci roków, abo więcy. On se drzymie rozkośnie, a ona poń-cochę robi. Gondoler wiosłuje zwolna — i tak jadą... Pokazuję ich panu mojemu i powiadam: „Ci tyz pewnie poślubną jazdę odprawiają, ino sie nieco spóźnili“. Pan mówi: „Miemce“. —

„Ale to jakiś“ — rzekę — „uściwy ten miemieć. Obiecał jej widać przed ślubem, że ją po Włochach obwiezie — coś przeszkodziło, potem pewnie przysły dzieci, trza je było wychować — tak minęło lat śtyrdzieści — i teraz ją obwozi, jak przyobiecał. Ino trochę zapóźnawo...“ Pap sie śmiał moim słowom, bo coż miał inzego robić. Juz my sie tyz pomału poufaliłi ze sobą. No, nie cud — zawdy my razem chodzili. Ino jak my śli po mieście, to sie za mną prędzej niz za nim obzierali.

Przypatrzyłem sie tyz tam i wojsku. Straśnie to mizerne, mundur na tem wisi, jak z większego brata na mniejszym. Nie wiem do znaku, jakby sie to było. E tak ta pewnie od parady trzymają se wojsko.

Naród cywilny za to strasznie zmyśny. Nie chce mu sie ta poprawdzie do nicego przyłożyć uściwie, ale za to štuki zna lepsze, niz cygański naród. On wam bedzie po morzu na kiju jechał.

— Co powiadacie? — cudowali się, nie wierząc zrazu.

— Dyć-ech sam na swoje ocy widział, nie zbliżka, co święta prawda, ale znowu nie z tak daleka, co bych nie ozeznał, jak se siedział na jednym kiju, co sie tam ka-jak nazywa, drugim wiosłował i tak jechał. Ho! ho! oni nie takie štuki jesce znają. Dy oni wieze tak umieją pusać, jak nascy chłopci drzewa. Wiecie, jak drzewo w lesie sie podetnie, to sie naprzód wie,

kany poleci. Tak oni naprzód wiedzą, kany wieża spaćnie. I za nase bytności tak jedna wieżę spuścili na placu św. Marka. Straśnie to przemyśny naród. Ino ze je biedny przytem. Zebraków tam moc, prawie co drugi cłek to zebrak. Jakbyś kazdemu, co prosi, ino po cencie chciał dać, to choćbyś największy majątek miał, musiałbyś wnetki zbankretować.

Ale wesołe jakieś te zebraki. Powiadają, ze sie sam rząd nimi opiekuje. Wiecór to sie kanyisi chowają, abo sie tyz za panów poprzebierają, coby miastu uciechy dodawać, ale w ednie to ich pełno wsędy. Widziałech tyz kielka pałaców, co były pozamykane, a wiecór sie w nich nie świeciło. Pytam sie pana: „Cyje tyz to te pałace?“ — „Nicyje“ — powiada mi — „tak sobie stoją“.

Bogactw jest duzo, jakech juz powiedział, ale ino po ścianach i po magazynach. Byli my w jednym, co sie muzeum nazywa, to my tam widzieli przerozmaite zbroje, ornaty, kamienie najdrozse i różnych świętych wyrabianych, a potem w pałacu takim, co w nim król mieskał za dawna, to my tam oglądali malowania, sklepy, wseleniejakie kostowności. Ale te wszystkie bogactwa, co sie tam po tych pałacach chowają, to ino obcym na pokaz. Pytam sie pana: „Skąd oni tyz to ponabywali? W jaki sposób? Musieli cheba pokraść kany, bo przecie kupić nie kupili — bo to zebraki, to ich na to nie

stać". A pan mi na to powiada, że to kiedysi był bogaty naród i że miał przodków sławnych bardzo, i ci te bogactwa ponabywali: to na wyprawach, to na handlu, to wreście za piniądze gotowe sprawili — i reśtki tych bogactw wielgich, to są te zbiory, co je obzieramy. Z całego świata, powiada, zjeżdżają ludzie, coby je oglądać, i za to płacą tutejsym. To jest ich zysk jedyny, bo nicem insem, że to synowie sławnych ojców, ni mają wóli sie trudnić.

— A cemu oni tych kostowności nie sprzedają? — wtracił któryś ze słuchaczy — mieliby piniądz na biedę, skoro taka jest, jak powiadacie.

— Ja sie tyz pana o to pytał. Powiada, że sprzedać nikto nima prawa, bo samorząd jest właścicielem, a naród ino ciągnie z tego prefit, że cudzoziemcom pokazuje. To wicie tak na przykład: Był bogaty graf, miał zamek i na tym zamku wseleniejakie cudności, a potem przysła bieda, nas graf zbankretował — i teraz jest ino stróżem w swoim własnym zamku. Przyjeżdżają ze świata panowie — on ich oprowadza po salach, pokazuje, co jest do widzenia, zachwala, potem sprowadza ich po schodach na dół, otwiera drzwi, kłania sie nizko i wyciąga naostatku rękę: „Syniore una lira!“ To ma po naskiemu oznaczać: „Co łaska“.

Takie to miasto Wenecya, i taki w niem naród. Jakby Paniezus wsyćkie miasta, skrony

bezceństw, jakie się w nich dzieją, jako drzewie Sodome ogniem siarkowym postanowił spalić, toby to miasto z pewnością musiał wyminąć: bo tło piękne jest, co aże cud. Ludzie są grzyśni, bo zebraki — ale i w tych grzychach swoich jacyś weseli, muszą być i Bogu miłsi, niż pójnsy naród, co to nawet i grzysyc poćciwie nie umie.

Widzieli my potem tyż miasta spaniałe, ale zadne do tego nimoze być przyrównane. Pan mój taksamo powiadał.

— Kiełozesćie tam casu hawili?

— Dość długo, bo aże miesiąc. Ale tam i rok za mało siedzieć.

— Toś tak próznował tam — wtrąciła żona — a ja tu tym casem...

Jędreł poważnie, do niej obrócony:

— Widzis, jak głupio gadas, nie do rzeczy... Tam wszycko państwo próżnuje. Tam cały naród próżnuje. I to se mą za honor! Wies o tem?

Umilkła, zawstydzona, a Jędreł dalej prowadzi:

— Potem siedlimy na kolej i pojechalimy na zachód, abo tyż ku południowi, ktoz wie, bo tam świat się ciekowi doznaku przemienia. Tu, kany u nas południe, to tam północ. Wszycko jest przeinacone. Nawet po słońku trudno zmiarkować, bo się widzi, że nie tam wschodzi, ka trza.

Przejeżdżaliśmy koło miejsca, kany się św-

Francisek urodził, potem zaś koło miasta, skąd pochodzi św. Jantoni Padewski. Same cudowne okolice.

— Potem zajęchalimy do takiego miasta, co sie Bolonia nazywa. Kamienice tam podobne do sukiennic w Krakowie, bo takie mają filary przed sobą; miasto, widać, bogate; ludzie tyz opaślejsi, niz we Wenecyi; wszycko jakiesi hrubse, więcy przysadziste. Ale i tamtejsi ludzie zmyśni są: wieze takie wam umieją stawiać, ze lecący stoja...

— Jak to niby?...

— No tak, ze widzi ci sie: leci... ino pozieras, kie spadnie, a ona stoi, setnie pochyłona, cudem jakimsi tak w powietrzu wisi.

— To tam nie ludzka moc...

— Są tam dwie takie wieze. Strach poirzyć. A jesce więksy strach stanąć blisko ktorej. Tam w tym mieście niedługo my pobawiali, bo sie panu mojemu śpiesyło do Florencyje.

— To jaka jego pani?

— Nie, to tyz miasto. Siedlimy znowu na kolej, i jedziemy. Musielimy bez telo tunelów przejezdzać, ze sie az cnęło; było ich cheba coś ze sto. Z tego dobrze pamiętam, ize sie pan ciskał, ze sie co chwila ściemniało, bo se przekładał karty na kolanie, zołędzie i różne inse — tak sie ta sam, nie tracąc casu, przyucał.

Ale nic dotąd blizszego nie pedziałech wam o tym panie moim. Skąd był, to ni mogę wie-

dzieć, bo i jemu samemu nieraz się myliło, jak się przedstawiał (nie mnie, ino drugim panom): Raz: ize jest od Warszawy, insy raz, ze z Gali-cyje, to znowu, ze od Poznania. Mógł być ze wsyckich trzech miejsc, bo, jak powiadał, miał dobra ozległe i nie ino pod jednym cysarzem. Gadał, ize jest hrabią jaśnie oświeconym i zeby go tak przy ludziach nazywać.

Ja tyz ta jesce wolał, boch się mógł przed ludźmi scycić, ize hrabiemu nie płatkowi słu-zę. Lat miał moze ze trzydzieści kielka, do śtyrdziestu. Talantów miał duzo. Umiał foto-grafować przepieknie — mnie tak odbił na pa-pierze, coby mie kazdy był poznał, choćby mie i nie znał przedtem. Umiał grać w karty na wselejakie sposoby i jakasi grę jesce znał, co się nazywa ruleta. Wykształcony był we wsel-kich sztukach — no jednym słowem: ucony. Straśnie był dobry cłek z niego. Ale to się z dalsego opowiadania pokaze.

Zajechalimy do te Florencyje i zamieskalimy w hotelu, nie bacę, jak się nazywa. Miasto roz-kosne. Kwiatów tam telo — i po murach, i po dachach, i kany ino miejsce jakie — ze niewia-domo, cy to miasto prawdziwe cy ogród.

— Zeby zamiast kamienic stały ule, byłoby tyz tam miodu!... — westchnął jakiś chłopina słodkawo.

— Po za miastem jest wzniesienie; jak się stamtąd popatrzeć, to cała dolina — az po góry

— jeden kwitnący sad. Białe, cyrwone, niebieskie, wseleniejakie zieloności. Są tam i drzewa dziwne, jak jałowce, a takie wysokie, jak smreki. Zaś te, co mają być smreki, to takie jakieś delikatne w śpilkach i we wsyćkiem, zebyś wnet na ktoryten powiedział: pani smrekowa, a nie smrek.

Ale wróćmy do miasta. Jest tam na środku kościół taki wielgi, ze sie aze myśl stracha na samo wspomnienie, jak oni go hań ku górze stawiali. A cały jest po wierchu z białych i carných marmurów.

— Ho! ho! moiściewy — dziwowali sie słuchający — co to za cuda dziwne...

— Zreśćą to tam juz nic godnego nima. Sklepów pełno, jak wsędy po miastach. I to niepotrzebnie po za sybami wystawiają — po to, co by ino ludzi kusić na wsyćkie grzychy główne. W jeden dzień wziął mie pan ze sobą do takiego gmachu, co nic w nim nima, ino same obrazy. Sał telo, co ani porachować, a we wsyćkich obrazy po ścianach wisą — i to od góry do dołu, — a niektóre takie są ogromne, ze całą ścianę zabierają. Chodziło tam duzo państwa i przyzierało sie tym obrazom. Ja sie tyz pocał przyzierać. Niektóre sie mi podobały. Były tam malowania takie doznaku, jak zywe. Dość-ech sie nacudował, kto tyz to umiał tak udać. Ale niektóre były i takie, co je bezboźniki jakieś musiały malować: niby to święta,

a — wybaccie — goła, nawet zapaski nima na sobie.

Myślę se: po co tyz to telo tego na kupie? Wywieźć na jarmak i sprzedać. Byłoby sporo centów, a tak sie marnuje.

Upatrzyłem se w jednej sali nieduzy obrazek, co mi sie strasznie spodobał, i chciałem kupić do chałupy. Pytam sie pana: „Kielo-by tyz za ten obrazek chcieli?“ Pan sie oześmiał i powiada, ze nie przedadzą. „Jakto? to nie na przedaz?“ — „A nie“ — powiada — „to ino na pokaz“. Zreśta, powiada, choćbych miał całą wieś, toby mie nie stać było. „Kieloz oni to cenią?“ — pytam. „Ze dwieście tysięcy“. Myślałem, ze śpasuje. Ale coby! Tak te Włochy umieją panów osukować. Ja se tyz myślę:, „Niech ze se mają, skoro sie tak drożą“. Juz nawet nie chciałem patrzeć. Błąkałem sie po salach, bo pan jesce ostał jakimsi paniom towarzyszyć.

Im dłuzy my tam w tem mieście siedzieli, to bardziej Włochom na gorse wychodziło, boch sie przekonował co dnia, jaki to okpiśny naród. Dyć oni nawet swojego rodzzonego cysarza osukują. Jakich oni tam urzędów ni mają! Są tacy, co chodzą i nosą przy sobie zygarki, cyby sie ich tyz kto nie spytał, która godzina — i za to se kazują płacić. Abo taki urzędnik: Chodzi jak dzień długi po mieście, trzyma latarkę na snurku, zeby do ziemi dostajała, bo mu sie schylić

nie chce — i suka, cy kto cego nie zgubił... Słyszeliście? A są wreście i tacy — tych największych — co już całkiem nic nie robią. Bóg litościwy, że ich odziewa i karmi, bo jakby na mnie padły rządy, tobych to wszyko z kretešem wymorzył. „Żyżze hyclu“ — powiedziałbych — „ale ja ci nic nie dospomogę“.

— To oni wam ta musieli setnie dojeść — ozwał się któryś ze starszych — izeście tacy na nich dobrzy. A tak-eście ładnie odpocęli...

— No nie, najgorsy cały naród nie jest, to ino tam w ty Florencyi... Wiecie, cem oni nas tam zywili?

— ?

— Ślimakami i bobem; i dyabeł wie cem jesse, bo ja sie nie tknął tego.

— Ehę, temu to!

— Podają obiad. Pan osobno je — ja osobno. Naprzódy jakieś pomyje zmacone. Pan odstawia. Przynosą mnie. Powachalech i mówię: „Weż se“. On powiada: „La zupa kon prosiuto!“ — „Ehę, to właśnie prosięciu dej, nie mnie“. Podają drugą potrawę. Pan próbuje widelcem — odstawia. Przynosą mnie. Patrę — jakiesi smaty z cyrwonego mięsa. „Jaby ci to jadł? Weż se“. Podają trzecią potrawę. Ta sama historia. I tak dalej. Wreście hycel przynosi coś zakrytego na talerzu. Patrę — ślimak jakisi. Ledwoch wytrwał, zech mu tego ślimaka do garła nie wepchnął. Naostatku — już zły wi-

dać, ale sie uśmiecha, jakby chciał rzec: „To wam przecie już musi smakować“ — podaje bób we strąkach, świeży i jeszcze mocno nie-dojrzały. No! tom se pomyślał: „Pan Bóg cie, hychu, głodową śmiercią ukarze“. I posełech spać. Nie wiem, co pan robił. Ale musiał pewnie coś z tego zjeść, bo na drugi dzień skarzył się mi na brzuch — i potem już z tym brzuchem do końca tak było.

Wreście my postanowili jechać do Rzymu.

— Hej? To tam Rzym jest? — spytały razem ciekawe kumoszki.

— Rzym jest, i Jerozolima, i wsyćko jest we Włochach.

— To-ście i w Jerozolimie byli? — pytały dalej niewiasty, patrząc na Jędrzka, jako na świętego.

— Nie, tam my już nie dojechali, bo panu pieniędzy brakło.

— To-ście na piechty mogli dojść. Tak blisko...

— Jakże w tym Rzymie? — pytali ciekawsi.

— Pockajciez, nie spieście się, wsyćko będzie na cas. Jak my postanowili pojechać, tak my siedli na kolej, i jedziemy. A jeszcze zabacyłech wam powiedzieć, że tam z temi kolejami jakiesi cygaństwa być muszą. Na kazdej stacyi otwierają wsyćkie wagony na oścież, i kazdy wchodzi, ka mu sie podoba — nie tak, jak u nas, co wsyćko po sprawiedliwości wyzamy-

kane, i trza, chcący jechać, pięknie prosić, co-
bytyz kany wpuścili. Tam telo płaci zebrak, co
i poćciwa osoba — wsyćko sie ze sobą miesa;
cheba dopiero Pan Bóg na tamtym świecie be-
dzie dzielił i ustawiał po klasach według spra-
wiedliwego osądku, bo tu juz nie da rady —
trudno ozeznać: kto dziad, a kto bogaty — kto
złodziej, a kto ino udaje świętego. Ale jedźmy
do Rzymu.

Po drodze nie będę się długo zatrzymował,
bo tyz ta i nie było wiela na co patrzeć. Ziemia
goła, aze wstyd — a trafi sie jakie drzewo, to
sie tak biedne konarami modli, ze sie az płakać
chce. Nic tam nie sadzą, ino morowe jakieś
drzewa. Nic tyz nie sieją. Ani kapusty ani zie-
mniaka, ani owsa — nic nie uświadczy na polu.
Ziemia tak próżnuje darmo. To tyz Pan Bóg
im nie błogosławi.

Przyjechaliśmy do Rzymu — juz sie mrok-
cyło, światła zapalili. Na stacyi telo piekła, ze
choćby sto jarmaków zegnał w jeden kosar, to
nie byłoby głośniej, myślę. Co ino łakomstwa
w Rzymie, to sie tam zleciało. Ten ci zachwala
hotel taki, ten taki, ten znowu insy — tamten
juz głos stracił od krzyku, rękami ino jakieś
znaki daje — a wsyćko jak osalałe. Tak, jakby
ratować chcieli podroźnych z jakiego niesczę-
ścia strasnego. Otocyli pana całkiem, widziało
sie, ze go juz zagłusa. Miałech mu skoczyć na
pumoc, ale nieporada było, bom dźwigał ku-

fry przy sobie, a potem obskoczyła mnie zgraja dokoła — i dalejze mi pomagać... Ten ciągnie w prawo, ten w lewo, ten w tę, ten w ową stronę — widziało się, że mnie już ozerwiał, bom kufrów z rąk nie wypuscał. A drą się, jak wszyscy dyabli. Mnie też złość porwała wściekła, i wrzasnąłem na cały głos: „Psia krew!!“ (To pierse słowo, com w Rzymie wypediał. Ale trza było, bo jakże. Niech mi Paniezuś tego nie pamięta — już-ech też zmazał na spowiedzi). Odeskoczyła zgraja na bok tak, jakby pieron w nią trzasł. Zrozumieli. Widziałech, że po polsku można się ozmówić, ino trza ostro, bez bojaźni.

Pan, widać miękcejszy, zgodził się już tymcasem z jakimś złodziejem, i ten go wepchnął do takiego wozu, co jest jak skrzynia z oknami. Chciałem pana ostrzedz, żeby się nie dawał tym osiustom do rąk, ale już było zapóźno; jakich nadsedł, to pan już siedział w ty skrzyni. Mnie kazał pan wyleźć ku furmanowi i kufry wycisnąć na dach. Coż było robić — pojechalimy — alech słowa przez całą drogę bez miasto, do furmana nie pedział. Nie było też casu gwarzyć, choćbych i miał był ochotę, bom się oglądał na obie strony — „przecie to Rzym!“ myślę se. Ale jakoś nic na to nie pokazywało. Kamienice, jak wsędy po miastach, nawet nie takie cudne, jak we Wenecyi. Gwaru, turkotu dość — i telo piersego dziwu. Zajecha-

limy do hotelu. „Przecie ten nas nie ocyganił“ — myślę. — „Moze tu przecie jest ludzi więcej ućiwych, jak nie“.

Zaraz na drugi dzień rano prosiłech pana mojego, coby mi tyz pokazał, kōrędy sie idzie do św. Pietra abo Pawła, bo bych tyz chciał podziękować Bogu, ize mie tu szczęśliwie i tak niespodziewanie doprowadził. Pan zaś był telo dobry, ze sam sie ohfiarował ze mną iść na miejsce.

Przyślimy przed kościół św. Pietra, i tamech sie piersy raz w Rzymie zacudował. Kielo tyz to stopni trza przejść, zanim sie wejdzie do kościoła! Budownicowie przez to pewnie to chcieli pokazać, ze telo stopni jest do nieba.

W kościele w środku nie jest tak pięknie, jak u św. Marka w Wenecyi, ale tyz za to gmasy-sko okropne — pięć naskich kościołów w nim by sie letko schowało. Zastanowiło mie to, ze ludzi nie duzo było w kościele. U nas sie gnietą, kościół nie moze pomieścić, i na polu stoją pod dzwonnica, a tu taka przestronność, i nikogo prawie. Mse św. sie odprawiały, a mało kto ich słuchał. Kielkoro pań i panów chodziło od jednego ontarza do drugiego, jakby na jaką pokutę; niektórzy modlili się z cyrwonych książek, podobnych, jak mój pan miał. Ja sie tyz pomodlił, jakech umiał, niewycytajęcy, podziękowałech Panu Jezusowi za wszycko, cegom nie godzien, i świętemu Pietrowi ohfiarowa-

lech parę paciorków — zreśtom nie było tam już co robić.

Posukałech pana, bo mi sie kanysi stracił i upatrowałech, cy tyz nie ujrzę ka Ojca świętego, bom wiedział, ize niedaleko mieska. Myślałech se w duchu, ze moze zajrzy do kościoła, abo msę św. bedzie miał... I co ktory ksiądz sie nawinał, to mnie już nogi podrywało. Ale zaden nie widział mi sie godny. Dopiero potem pan mi wytłomaczył, ze Ojciec św. ze rzadka zjawia sie w kościele i to nie tak poprostu, jakby se kto myślał, ale ze służbą i ze wspaniałością wielgą, jak przystoi. No ale ja tyz ta, jak cłek głupi, nie wiedział zrazu o tem.

— To-ście Ojca świętego całkiem nie widzieli? — pytały zawiedzione słuchaczki.

— Widziałech go tak zbliżka, jak was tu widzę, ale do tego dopiero dojdziemy. Teraz my są w kościele św. Pietra, to nie przerywajcie, boby sie mi pomieszało.

— No już nic, opowiadajcie, bo to wszycko święte rzeczy, co mówicie, ani cłek nie godny widzieć — przypochlebił ktoś ze starszych, i Jędrak Śklarz do wątku opowiadania powrócił.

— Znalazłech wreście pana w jednym z pobożnych kaplic. Stał z jakimisi paniami dwiema; jedna była starsza, druga młodsza, tak, jakby jej córka. Poznałech zaraz, ze to te panie, co były w tym casie we Florencyi, kie i my byli. Miało

mi przyjść na myśl: kto tyz za kim jeździ — cy my za niemi, cy one za nami? Ale ze to w kościele było, tom juz nie chciał obrazić Pana Boga głupością światową. Skłoniłech się ino grzecnie, jakech umiał, i stanąłem z boku. Dosłysałych, ze po naskiem: rozmawiali, i widziałych tyz potem, ze o mnie mówili, bo mój pan na mnie oczami wskazywał, ale udawałech dobrze, ze nic o tem niewiem, nawet przygłuchnąłech trochę na tę chwilę. Dyabeł mie kusił, coby podejść blizy, ale ja sie nie dał skusić, bom i tak bez jego porady słysał, choć-ech ta i przygłuchnął wrzekomo, ize pan sie chwalił mną i powiadał, ze juz od dawnych lat u niego służę, a panie sie zaś ciekawiły moim białym strojem. Miałech se pomyśleć: „Zeby mi to pan za te lata zasługę policzył, to niechby ta juz była prawda, zech służył“ — ale ze to w kościele świętym było, tom se juz nic nie pomyślał, ino mówiłech paciorki do obrazu, co był wymalowany na ścianie, i pozierałech niewidocznie, rychło sie mój pan uwolni. Ale kabyś ta! Ohfiarował sie jesce do jedne kaplice z niemi.

Poślimy wraz, bo i ja tyz — ino mi pan pocichu sepnął, coby nie w parze iść przy nich, ale w odległości niejakej za nimi. „Ja tyz ta jesce wolę“ — powiedziałech, ale poprawdzie, to mi sie to nie podobało. Zrazu, jakech nastał, taksamo mi przykazował, ale potem to my cho-

dzili wraz oba, i jeszcze mu było śmiejiej przy mnie. I teraz znowu przy ludziach... No ale dumam: „Pan jest na to, coby miał swoje humory. Ja mu ta ojcem nie będę. Miał jednego, i ten go tak nauczył, to coż on winien?” I posłał za nimi do tej kaplice. Niezałowałem potem, bo też było się temu przypatrzeć! Jest tam całe piekło, i niebo, i sąd ostateczny, i co ino było na świecie i będzie, to tam wszystko jest wymalowane. Ba, to nic, wymalowane — ale słyszałem, jak pan tym paniom objaśniał, że to sam święty Michał Janioł wymalował!

— Mościewy, to-ście wy już zupełnego odpustu na wieczne casy dostąpili, skoroście przw takich rzeczach byli, które ino w niebie, jak Bóg lutościwy da komu, oglądać będzie można — mówili słuchający, a Jędrak nie przeczył temu i dalej ciągnął swoje.

— Potem wyślimy na miasto, odprowadziliśmy te panie do mieszkania — niedaleko od pałacu Ojca św. mieskały — i wróciliśmy do swojego Bokacio, bo takie przezwisko miał nas hotel. Wesoło tam w tym hotelu było, ino to było niedobrze, żeś już bez całą noc oka nie godzien był zmrzyć. Co chwila, to „sur — sur“ po za ściany, jakzeby sto kóp mysy wesele swoje odprawiało, to znowu śmiechy takie, jakzeby się boginki gziły. Nie wiem, jak ta panu mojemu sie spało, bo my nie razem sypiali, ale cheba ze nijako, bo sie dość często na głowę uskarżał.

Ucisało się dopiero ku ranu — ciek się radował, że się zdrzymnie choć na tę małą chwilę — ale cobyś!... ledwoch zemzał — jak wrzaśnie ktoś z ulice!... Piersego dnia, tom się zerwał na równe nogi. Myślałech, że się Rzym pali. Wyzieram oknem kany co takiego — a to mała skucina. Włoch, wiezie na wózku zieleninę i tak się drze okropnie. Jakby go kto ze skóry łupił. Legam na nowo — znowu! „Zebyś na wieki ochrypnął“ — zycę mu już we złości. O je za chwilę trzeci, czwarty — i tak do śródpołui. Za parę dni tom już całą tę letanię wrzasków znał na pamięć. Ledwo się na świt namieniało, już woła: „Insalata! salati!“, potem: „Spinaci! lasparagi!“, i już nie bacę dalej. Skoro z jarrzyną przestali, zacynało się z gazetami. „La Tribuna! Avanti! Il popolo!“ i dyabeł ta już wypamięta reść. A to na rozmaity sposób: jeden krótko, jakzeby go w podeswy parzało, drugi przeciągle, jakzeby go na wolnym ogniu przypiekał, insy załośnie, jakzeby mu ociec przed godziną skonał, a każdy ino w tem ma pychę, zeby się najgłośni udrzyć.

Po paru dniach poznałech już wsyćkich po głosie. Jeden był — ten co najwcześni zacynał — taki już z tym głosem przeobmierzły, zebych był wołał wilka na pustym polu usłyszeć. Jednego rana pan woła na mnie bez ścianę: „Idźno Jędre, uspokój go, bo mi głowa pęknie“ Mnie tyż ta nie trza było dwa razy gadać. Ja

juz dawno miał złość na tego hycła, bo widać na despet tu sie tak darł, coby nas skłócić — zdalsa słyhać go było duzo cisej. Zebrałech sie w ty minucie, nawet-ech kyrpców nie obuwał, wypadłech na ulicę, dołapiłech go i omlóciłech po pysku w porządku. Byłbych go był i więcy ukrzywdził, ale mie lutoś wzięła, bo to nikłe było, myślę se: „Bees miał doś“. Wróciłech do stancyje — pan sie bez ścianę pyta: „Coz tam?“ — „Juz uspokoiony“ — odpowiadam. „Dobrze“ — mówi — „ale coz to za krzyki?“ Rzeczywiście słyhać było krzyki i hałas z dołu. „Pódę wyrzyć“ — powiadam. Ledwoch do schodów dosel, a tu sie wali cała hurma Włochów, krzyca, gdakają jakoś po swojemu i chcą mnie ocywistnie zahareśtować. „Jakim prawem?“ — pytam sie — „Ja tu nie swój, bo ja służę u pana“. Ci nic, ino do mnie. Ja tyz: „Jak nie ustapicie“ — mówię — „to was wsyćkich co do jednego wymietę!“ Na to wyleciał mój pan bez ubrania i zaczął z nimi w ich gwarze sie kłócić, dopieroz mie opuścili, ale nie odešli, aze im pan zapłacił dwadzieścia lirów, jako śtraf za mnie, bo sie pokazało, izech nie tego uspokoił, co trza, ino inego jakiegoś przechodnia. Potem pan mi powiedział, ze mnie ino latego nie zamkli, ize mnie za niepocytelnego podał. No dobrze, myślałech se, ale to głupie mają prawa, bo choćbych i cytelnny był — to przecie ten cłek, com go niechcący ukrzyw-

dził, ni miał na gębie napisane: nie ten. Niech mu ta Bóg grzechy odpuści. Ani wie zebrał do dziś, za co odpokutował.

Potem wołałech już cierpieć, a nie dałech się prędkości porwać. Kłatech ino, jak mi duzo ty-mi wrzaskami dopiekli, i najwyzy zycylech im takiego samego dobra. Myślałech se tyz rozmaicie, na ten przykład: „Od cego tu rząd jest, ze tych hyclów nie połapie i nie pozamyka. Zeby to jesce ka indziej sie darli, no niechby, ale w samym Rzymie! Oni pewnie na despet tak Ojcu świętemu... coby oka nie zmruzył... Biedny i on — myślę se — tak musi pokutować niehcący, jak haw i ja. Święty jest, to sie nie gniewa, ale na inzego... toby wykłął z kościoła — niechze sie hycle w piekle drą po śmierci!“

I jesce różnie se myślałech, ale już bez gniewu. Jak mi ten Ociec święty przyseł na myśl, ize je taki cierpliwy, tak i mnie złość opuściła, i dodawałech przy kazdym paciorku: „Ohwiaruję Ci tyz, Panie Jezusicku i Wam Józefie święty, te wsyćkie utrapienia, jakie od tych hyclów doznaje na uproszenie łaski przenant świętse, na odpuszenie wsyćkich grzechów moich, i na więksą chwałę Twoją. Amen“.

— No dobrze, wsyćko ładnie — przyświadcyl, skoro Jędrak wytchnął — ale o Rzymie nic nie opowiadacie, a my ciekawi...

— Miałech właśnie zacząć skraja, i przerwa-

liście mi. Jakże o Rzymie?... Przecie to nie osiedle, cobyś obseł dookoła i powiedział o niem zdanie: takie, a takie... Przecie to miasto — właściwie trzy miasta w jednym okolu: stary Rzym, co sie już ozwalił, nowy, co jesce stoi, i najnowszy, co sie dopiero stawia, ale brakło im widać pinędzy, i ni mogą go skończyć; widziałech rzędy kamienic niepodokańcane — niebo bez okna świeci — i tak stoją, nikto koło nich nie majstruje.

Byli my i w starym Rzymie. Dziwne to tam doprawdy, małoktory gmach coby był cały, a niektóre całkiem ozsypane. Ale tyz dziwni i ci cudzomiemce cy Jangliki, co po tych zwaliskach chodzą; kazdy słup obwąchają, kazdy kamień spróbują, cy słony, jak natenprzykład owce, kiedy spotkają kruch soli. Oni by tam pewnie, jakby mogli, cały Rzym po kamieniu, po cegle oskradli — i za sto lat miejsce by ino świadczyło, kany Rzym stał. Takie te Jangliki zmolne.

Byli my i tam z panem, kany chrześcijan męcyli. Strasne gmasysko, przeogromne. Ani do cego przyrównać. Cały Nowy Targ wnetby sie w niem zmieścił. Do sądnego dnia pewnie będzie trwać na hańbę i na świadectwo przeciw okrutnikom.

Byłech tyz w jednej pogańskiej bóżnicy, co sie podmuchom wieków obalić nie dała — niech mi tego Paniezus na Sądzie nie wspomni —

bo mie ciekawość parła zajrzeć, co oni to tam, jakiego cielca ćcili. Ale nic nie było w środku; wyselech stamtąd dużo zawiedziony.

Za to potem, Bogu niech będzie niewymowno, byłech cosi w stu kościołach abo we więcy, bo trudno było dorachować. A jescech i tak połowy nie doseł.

— To tam sie dopiero ludzie modlą! — wtrąciła któraś z kumoszek zazdrośnie.

— Cały dzień pewnie, i mają cas na to...

— Hale! Tyz za to, ze telo kościołów, to sie z nimi oswoili, i tak sie im to widzi równo, cy kościół cy co inzego. Nijakie ćci nie widać. Bylech na paru nabożeństwach, tom sie przypatrzył i przysłuchał wsyćkiemu. Ludzie se chodzą, rozmawiają, nikto na księdza uwagi nie daje. Dopiero jak na chórze zacną śpiewać, to sie w kościele ucisa. A po śpiewie zaś to klaszkają w ręce podobnie, jak to w tyjatrze. Ale wyście nie widzieli. To wiecie tak, jak to małe dzieci, kiedy są rade cemu.

— Co wy tyz opowiadacie!

— To wiecie tak tam nabożeństw słuchają...

— Ani sie wierzyć nie chce.

— Nie wierzcie, jak nie chcecie, ja was nie bede przymusał. Ale to święta prawda, co wam opowiadam. Jakzeby ja miał odwagę o Rzymie kłamać?

— Juści ze trudno, bo jakze... o to was tyz nik nie posądzi, broń Boze, ino sie tak dziwno

zdaje... To i księży musi tam być dużo, skoro telo kościołów?

— Ba! Księży jest takie mnóstwo, że aż ciemno. Nie ino miejscowi są, bo się z całego świata tam zjeżdżają. Ulicą nie przejdiesz, żebyś dziesięci najmniej nie napotkał. Biedne niektóre takie, że ażę żal.

— Z czego oni tyż tam żyją?

— No ci co miastowi, to pewnie z kościołów. A reszta to się może u Ojca świętego wiktuje. Ale cekajcież, nie przerywajcie mi, niech opowiadam skraja, bo mi się miesa. Takby my do uściwego końca nijak nie dotarli. O, natenprzykład, jedno, com powinien był opedzieć wcześni, dopiero teraz mi przychodzi. Jednego odwiecora pojechalimy z panem na korso...

— Coż to takiego?

— Jakże wam pedzieć... Bo się to właściwie nic tak nie nazywa, żadne miejsce, ino to ma oznaczać miastowy obyczaj. „Na korso“ to tak, jakby powiedzieć „na przejazdzkę“. Co dzień nad wiecorem o ty same godzinie przyjeżdża państwo w powozach do ogrodu na górkę, co się Montepincio nazywa i skąd cały Rzym wiadać, i tam się zabawę stroi, przejeżdżając dokolutka potym ogrodzie po dwadzieścia i więcej razy.

Pan najał powóz, kazał go ubrać we kwiaty, taksamo tyż i konie, mnie kazał sięść na wysokiem siedlisku przy furmanie i ręce tak na

piersiach założyć, a sam se siadł na nizsem — i pojechalimy. Państwa już jeździło dużo — mijali się, doganiali, i znowu nazad — a co który powóz to ładniejszy. Jeden był co się odróżniał od wszystkich. Konie carne, jak kruki, poumierane w bielutkie gierlandy, furman i lokaj na przodku, a w powozie, na którym były herby malowane, siedziała ino jedna pani, strasznie piękna i wystrojona, tak, że się aż w oczach mieniło, gdyś spojrział. Pan mój kazał furmanowi, coby koło tego powozu jeździł bez przestanku, tom się mu miał czas przypatrzeć. Widać, jak ta pani poźierała na mojego pana, i on też na nią — myślę se: „Na coś się zanosi“. Zyczyłech z duse panu, bo widać godna osoba i majątek musi mieć niemały, skoro w takiej paradzie se jeździ.

Pan miał postanowienie zrazu ożenić się z tamtą, co była z matką u św. Pietra, ale się okazało, że i ona też majątku patrzy — i tak się ni mogli zgodzić.

„Dobrze się stało“ — dumałech se — „bo zaś co do te w powozie, to ani przytykać; tamta mogłaby śleobodnie za pokojówkę być u te hrabiny, i niktby nie powiedział, że to nie pastuje“. Myślę se: „Zebych ~~to~~ strykiem był mojego pana, tobych mu ino tę rań, i sambych na namowiny posłał i potela bych nukał, azby się przeznaczenie wypełniło“. Widać przecuła, com se w duchu myślał, bo poźierała i na mnie łaska-

wie. Skoro my się raz zjechali tak, że konie sły w parze, dojrzałych, jak rzuciła kartkę mojemu panu do powozu. „No to już dobrze“ — pomyślałem i nie omyliłem się. Pan był potem cały czas uradowany i mnie dał lirów kielka. Złożyłem niewycytajęcy jeden na ofiarę, na to, żeby się panu w tym interesie poszczęściło, bo by ta i mnie coś więcej kapło z tej obfitości.

Do te hrabine pan często zachodził i mnie raz posłał z listem. Ale trafiłem na taki czas, że jeszcze nie była ubrana, i wstyd mi było strasznie; jakisi pan tam u niego nie był, może brat albo dochtór, bo się je nic nie wstydział.

W tym czasie byli my też u Ojca świętego...

— No, przecie! — ozwał się głos w gronie słuchających niewiast. Niektóre, dalej siedzące, wstały i bliżej podeszły.

— Ale to już muszę jakimusi świętemu przypisać, że mnie tam doprowadził, bo to nie tak łatwo, jakby się wam mogło zdawać.

Pan mój, jako ze ślacheckiego rodu, wystarał się za pretekcyą znajomego księdza czy biskupa, że miał być dopuszczony przed święte oblicze z kilkoma osobami wysokiego stanu. Jakich się ino o tem zwiedziało, molestowałem pana, żeby mnie ze sobą przywztał. Ale pan zrazu powiadał, że to nimoże być nijakim zwywym sposobem, bo tam ino jako pielgrzym — i to nie sam jeden — cłek prosty może być dopuszczony. „To ja będę, jako pielgrzym“ — mówię —

„i nie sam będę, bo z panem“. Na to pan sie oześmiał. „No, skoro tak gwałtem chcesz“ — powiada — „to cie wezmę, ale nie dalej jak do drzwi, za ktoremi bedzie Ociec święty. Mozes tam na mnie poczekać i mozes sie tymczasem po-ozpatrować po salach“.

Nie było mi to na wólę, ale coż miałech robić. Dobrze i to. Myśle se: „Niechze bedzie, jako bedzie“. Skoro ten dzień przyszedł, wystroiliłech sie, przeobuliłech nowe onycki, a pan sie na carno ubrał — i pojechalimy.

W bramie pałacu wstrzymała nas warta, ale nas potem przepuściła, skoro pan papier pokazał i cosi z oficyrem porozmawiał. Jakech wstępował po stopniach, to mi tak serce biło, zech sie o ścianę musiał oprzeć cosi ze trzy razy. Dziandary stały na kazdym zakręcie — po dwóch strasnie wojennego wzrostu. Alech se potem pomyślał: „Przecie tu Ociec święty mieska, nie zaden strasny munarcha — coż sie mam bać?“ i juz-ech śmieiej za panem moim postępował.

Zaślimy wreście do sali, kanych miał na pana cekać. Ozglądnałech sie — doznaku tak, jak w kościele: marmury, wyzłacania, malowania różne. Przy jedny ścianie stało dwóch rycerzy w mundurach zółtych z białymi paskami, cy tyz na odwrót, bo nie bace. A zaś blizy drzwi stało kielku panów i rozmawiali po cichu ze sobą. Pan sie tyz ku nim przyblizył. Myśle se:

„To pewnie za temi drzwiami bedzie Ociec święty“. I tak-ech sie nieznacnie zaposuwal, ze-ch sie nalaz blizy drzwi, nizeli panowie. Stoję se, niby tak bez zadnego zamiaru, a medytuję: „Zeby sie tyz to jako dostać do Ojca świętego, coby mie ino pobłogosławił. Niech juz potem bedzie, jako chce“, Poruszenie sie jakiesi zrobilo za drzwiami. Panowie sie przysunęli. Mnie serce zadygotało, nadsluchuję... Pan mi powiada: „Nie pchaj sie“. Ja udaję, ze nie słysę. Kaz sie bedzies człowieku grzysny pchał, jak nie do zbawienia?

W te razy drzwi się otwarły, i tum wyraźnie ucuł łaskę boską, bo mnie widać ze stroju wzięli za ślachcica, a o panu moim myśleli, ze to mój lokaj, i mnie naprzód przepuścili. Nie wiem, jako sie ta sprawiał, i cy go potem dopuścili, jak im wyłożył omyłkę, bo ja juz na nic nie uważał, ino prościutko — jakech wseł — do Ojca świętego... Dziś go widzę, jak se siedział na wysokiem krześle — biały gołębek, chudziutki, zmizerowany, zbiedzony, ze mi sie go aze zal zrobilo. Jesce mu na tę głowę świętą jakisi ciężar włożyli, ze sie aze zgiał pod tem... I tak se siedział, a koło niego stało paru księży cy biskupów, bom sie im nie przyjrzał dobrze. Gruchnąlech przed nim na kolana — łzy mi sie do oczów cisty... „Ja tyz nie godzien“ — jakam — „ale mie tyz niech pobłogosławią, jak Ich prze-najświętsza wola“... Pojrzałem z dołu ku niemu

*Ta sama od.
20.11.*

załzawionemi oczami, on tyz parę łez nademną upuścił — i tak my se oba zapłakali. Potem przemówił cosi po łacińsku, a potem wyciągnął rękę, pobłogosławił mie urocyście i dał mi na ostatku pierścień do ucałowania. Wstałech, jak winem najlepsem opity i wysełech tak letko, jakbych skrzydła miał nie nogi. Wychodzący pomyślałech se: „Zeby sie to tak do nieba bez omyłkę dostać“...

— No, toście juz najlepszego na świecie doznali, nie zał wam bedzie i umrzyć — mówili słuchający, zazdroszcząc w duchu Jędrzkowi. — A jakze z panem wysło?

— Nie wiem, jak, powiadam, bo ja na górze na niego nie cekał. Zaraz-ech zeseł nadół, bom sie i obawiał trochę, ze moze być źle z tego, jak się postrzegą. Pan mi tyz nic nie pedział, bo zły był na mnie strasznie. Ja se ta nic z tego nie robił — miałech za to błogosławieństwo; toż myślę, więcý warte, jak pańska przychylność. Zreśtą myślę se: „Wygnewa sie, to sie i wydobrzy“. I tak tyz było. Długo nic do mnie nie gadał, a potem pomału zaczął, ino mi zadziesiątał raz na zawse, cobych sie nigdy nikany nie pchał przed nim piersy. Ja mu tyz posłusność przyobiecał, bo coż mi to wadziło.

Zreśtą, ka by ta był o tem jednym myślał wse, skoro insem miał głowę zajętą. Coraz to częściej zachodził do te hrabine, co my ją na korsie spotkali. Juz sie poważnie tem zajął. Spodziewa-

lechi sie, ze wnet usłysę o weselu, i już-ech kypce stroił. Ale potem nie wysło tak, jakęch se dumał, bo zawdy jakiś dyabeł musi popsuć sprawę. Przyjechała z Hameryki jakasi jangielka, brzyčka jak nieszczęście, ale powiadali o niej, że ma pieniądze wielgie, milijony. I pan—juści nie dziwota — wołał większy majątek, jak mniejsy. Kanysi się z nią poznałomił, i potem jej już ciągle towarzyszył; kiedy nie-kiedy ino zajrzał do hrabine. A ta jangielka nie bardzo była mu rada. Widziałech, żeby mnie była wołała.

— Dzis go, zbereźnik! — wtrąciła żona Jędrzkowa.

— Nie bój-ze sie, nie, bo i dyabeł na pieniądze siedzi, a bez to nie jest przyjemniejszy... A co zaś, że mie ta chciała, to la tego mówię, że jak pan zauwazył, kie my wraz oba z nią byli, ize ona z nim rozmawia, a do mnie zęby wyscerza, tak mie już nie brał ku sobie, ino mie ostawiał, i sam jej chodził usługować.

Ja tyz ta jęse wołał, bom sie tymcasem mógł wyspać i po Rzymie se pochodzić, jak sam pan. W tym casie poznałomiłech sie z malarzami z polskiego kraju, co sie tam w Rzymie ucyli malować. Straśnie to wesoły naród, i taki śpawosny, żebyście sie im uśmiali!

Chodziłech z nimi po mieście — cuda mi pokazowali. A raz mie wzięli do siebie do Skoły i odmalowali mie całego, jak stoję. Py-

tali sie mie, cy dobrze. Ja im na to: „Dobrze by było, ino ze kyrpców widać zaden z was nie sył, bo nie takie są, jak mają być“. Śmiali sie temu i powiedzieli mi, zech jest chłop grecki, to niby znacy: do rzeczy, zech im sie udał.

A raz znowu pojechalech z nimi za Rzym do tego miejsca, kany św. Pawła ścięli. Jest tam klastór spaniały, mieskają w nim zakonniki, nie bacę ino, jakiego zakonu. Mają se sklep przy kościele ze świętymi relikwiami i wysynk święconej wódki, którą sami umieją robić. Nazywa sie ta wódka jakoś... kaliptówka... cy tyz jesce inacy, nie bacę. Dwóch bracisków synkowało. Popili my sie ućciwie, i bracisków my opoili setnie. Prosili me towarzysze~~z~~ coby im „zbójnickiego“ zatańcować. Sprawiałech sie, ze nie umiem. Ale ci nic ino: „Musi! musi!“ Juz my sie przy ty wódce pobracili. Ja tyz zatańczyłech im „cyfrowanego“ naskiego... Powiadam, ze to zbójnicki — uwierzyli. A dwa braciski tak sie śmiały, ze sie az po ziemi walały. Wesole były zebraki. Na odchodnem kupiętech niewycytający dwie relikwije święte po korunie, ino nie bacę z jakiego świętego; przyniosłech haw babie, niech se ta ma.

— Mozebyście tyz udzielili — szepnęła któraś z kumoszek do Jędrzkowej.

— Kiedy tyz nima co dzielić — broniła się — bo tak, jak ziarko.

— Wróciliśmy do Rzymu — ciągnął Jędek —

wesoło, głośno, jak z jarmaku. Wsędy sie za nami obzierali.

Alech sie musiał wnetki z tymi malarzami rozstać. Jednego rana pan powiada: „Zbieraj sie Jędreku, pojedziemy“. — „Cy juz ku chałupie?“ — pytam sie. — „Nie“ — mówi „pojedziemy do gór“. Jangelka tam pojechała, i pan postanowił za nią. Miałech powiedzieć panu: „Co sie tyz to po górach za babami włóczyć, kie ich tu dość, alech juz nic nie powiedział“. Spytałech sie ino, rychło wrócimy. Pan powiedział, ze moze nie prędko i zebych wziął, co potrzeba. Powyjmował rzeczy niektore, cobych do mniejszych kufrów zapakował, i skoczył pożegnać sie do hrabine. Tego tom juz ni mógł pojąć. „Tu do jedne, a tam za drugą... Jak to moze być?“ Alech se pomyślał wręście: „Cy ja mu strykiem abo ojcem? Oświatę ma większą, niz ja, to on ta juz wie, co robi“.

Wyjechalimy ze Rzymu koleją na wschód cy tyz na połednie — bo, jakech juz powiedział, całkiem mi sie strony świata poprzeinacały — i jechalimy bez Antykol i bez kiele miast mniejszych, ale juz nie bacę ich nazwy. Co mi sie wydawało dziwne, to to, ze nikany wsi nie widać było. Myślę se: „Kany tyz tu chłopski naród mieska?“ Dopierom sie późni miał dowiedzieć.

Zajechalimy do miasta, co sie nazywa Subiako; tam my z koleje zesiedli. Patrzę — górzyska przed oczami, ze wierchów trudno doj-

rzec. „Jakże my tam w te Tatry pódziemny?“ — pytam sie pana. — „Mozeby my tu zacekali na tę panią?“ Ale pan se ani przykładać nie dał. „Zaraz — powiada — wyruszymy“. Tak go za tą jangielką gnało. „Ba! wyruszyć możemy“ — mówię — „ale jakoz? ja z pakunkami, pan na piechty“...

— „Nie tróbuje się“ — powiada.

Podseł do Włochów, co stali niedaleko z rękami w kiesieniach, i porozmawiał z nimi, a ci pošli i przyprowadzili za chwilę dwa bydłeta, co sie w tamtejsej gwarze nazywają granda bestya i pikola bestya to znacy: muł i osieł. Stały te stworzenia smutne i smiesne przytem, co niemiarą, a pan tymcasem ugodził sie za nie i poganiacza najał.

„Jakoz my to na tem pojedziemy?“ — pytam sie, skoro pan nadszeł — „Dy to takie stworzenia, zeby cłek płakał nad nimi i śmiał sie. Ja-bych za zycie na tem nie chciał jechać“. Ale pan nie uważał na to, kazał mi włożyć pakunki na grandę bestyę, a sam wsiadł na pikolę — rusyli my — ja koło grandy, podtrzymując pakunki, bo sie wazyły na boki, poganiac za nami z kijem. Była tyz to jazda, była! Skoda, żeście nie widzieli. Uśmialibyście sie.

Zaraz za miastem droga sie wznosiła i sła na skos przez uboc, a potem coraz stromiej ponad przepaście. Pan jechał na przodku — jak sie juz rzekło — na tej pikoli bestyi, ja za panem

przy grandzie, a za nami poganiac z bijakiem. Co sie tyz ten całą drogę nadarł! Juz se użył za wszyckie spokojne casy. Co chwila, to: „Avanti!“, co miało znaczyć: „wio!“ A zadne go nie słuchało. Osieł seł tak, ze juz cheba powolniej trudno, a muł za nim jak za prefesorem. Casem poganiac doskoczył, to go udarł kijem, to sie wtedy muł ruszył o pół kroku więcy; trzy ćwierci juzby było za duzo. A osieł nic, nawet pół ćwierci nie przyspieszył. Seł zadumany, i widziało sie, ze na cały świat nie uwaza. Ale to ino na poziór, bo w gruncie rzeczy myślał ciągle, jakby sie ciężaru pozbyć. Rosły cierniaki koło drogi, to choć miał miejsca doś na drodze, umyśnie zboczył ku cierniakom i tak sie o nie otarł bokiem, ze pan w niebogłosy wrzasnął. Abo znowu ponad przepaścią seł na samym kraju, na ostatnich kamykach, choć drogę miał wolną. Co sie tyz pan strachu najadł, to ani, ani — za zycie bych nie chciał.

Śródwiecerz był, jak my sie pod wierch wydostali. Minęli my zakręt. Pojrzę w górę — i ocom swoim nie dowierzam. Widzę jakiesi mury koło wierchu, jak zamki nieprzystępne. Okna sie świecą — wyraźnie widać domy... Zdumiony pytam sie pana: „Co to?“ — Powiada: „Miasto, do ktorego jedziemy“. — „Hej! tak-ze mi pan mógł gadać! Ja myślał, ze ka w jakie turnie... Miasto na górze! Cud świata“. Pozieram i myślę se: „Hej! musi tam być

wesoło!“ i przynaglam grandę bestyę, ale kabys ta poradził. Droga sie robiła coraz bardziej stroma i ledwośmy sie pomykali.

Widziało mi sie zdołu, ze za godzinę tam będziemy, a tu dobre półtrzecia godziny usło, nim my do murów dobili. Wjeżdżamy... i jakby mie kto pałką po łbie przywitał... Smród, brud, no jednym słowem — ućciwszy was i te obrazy — nawóz.... Pojrzę na pana — i jemu sie niedobrze zrobiło. Ino jeden poganiac, jakby nowe fantazyje nabył, wywija kijem i wykrzykuje co głosu moze wydobyć: „Avanti!“

Na to zahucało tak w mieście, jak w ulu, pełnym trzmieli. Ze wszyćkich okien pocęły sie wychylać głowy rozmaite — najczęściej śniade, kosmate, i nieumyte — i pocęły latać słowa, wykrzyki nie zrozumiałe; jednoch se ino zapamiętał, co sie częściej powtarzało, to jest „forestjeri!“ Nie wiem, co to miało znaczyć, ale na to, jak na hasło, pocał sie naród zewsząd zbiegać, i wnet całe miasto sło juz za nami z okrzykami, jakby sie nas tu od wieków spodziewali.

Myślę se: „Cy tyz to nie pogany, i cy nie wzięli pana mojego za Mesyasa. Zdając sie moze i to, ze na ośle wjechał“. Tu mi przysło zaraz: „Ze jakby tak, toby nam tu było dobrze. Dbaliby o nas, dawaliby, coby ino dusa zapragnęła. Niechze ich tyz ta duch święty nie oświeca, pokiela my są — myślę se — boby my duzo byli stratni“. Tak mie ta myśl opętała,

zech jak w osołomieniu postępował. „Coz ja w takim razie? — To ja apostoł“. I przybierałech twarz, jak na apostoła. Ino mi to przeska-
dzało, zech musiał co chwila uskakować, coby onycek nie skalać w nawozie.

W takiej paradzie postępowałimy po stopniach, bo tam ulice były jak schody, az my sie wydostali na jakiś plac nieduzy. Tu mój pan zlazł z tego osła, mnie polecił pakunki zdjąć z grandy bestyi, a potem odrachował poganiacowi piniądze, za jakie sie z nim ugodził, i kazał, coby se bydlęta pojął. Poganiac na to, niby ze sie mu mało widzi, co mu pan dał, powiada: „Syniore! jo sono molto fatigato!“ I nijak nie chce ustąpić. Ja tyz, chcąc panu dospomódz i pokazać Włochom wsyćkim, ze ja ich gdakanie rozumiem, a przytem i reśpekt zbudzić, jak nie skocę ku niemu: „Tyś molto fatigato? Ty?“ A więcy-ch wrzaskał, nizeli-ch sie złościł. Odrazu stał sie pokorny. „Widzis“ — powiadam — „granda bestya jest molto fatigato, bo ona dźwigała pakunki! Ino sie nie zabier wartko!“ Nic juz nie pedział, zajął bydlęta i pognał.

Wtedy mój pan zwrócił sie do ludzi, stojących wokoło i zaczął sie rozpytywać. Dopieroz i ja mógłech sie im przyjrzeć. Wsycy byli chłopcy, choć nibyto miastowi, ani jednego pana między nimi; mieli na sobie obcisłą przyodziew, na nogach kyrpce, kapeluse nieduze na głowach; włosów widać nie strzygli, bo im spa-

dały w strąckach koło syje; rośli byli i śmigli, a na twarzach carniawi i śniadzi, oczami patrzali bystro, i nic nie mieli przyjemnego w sobie. Oświaty tyz zadne nie widać było na nich. Jak miasto było brudne, tak i oni. Juhasi z Tater wyglądałiby przy nich jesce biało. Kobiety tyz ta niewiele inakse.

Przypatrowałech sie i myślałech se: „Skąd sie tyz to takie miasto wzięło, po co je tu wymurowali, co ci ludzie tu robią, z czego żyją, bo przecie cheba kamieni nie gryzą“. — Wtedy pan sie zwraca do mnie: „No, Jędreku, ni mamy tu co długo popasać, bo tu ani hotelu, ani gospody, ani nic nima. Musimy wracać“.

„Jakoz“ — pytam sie — „a kanyz ta pani jangelka, za którą my przyjechali?“ — „Nima jej juz“ — powiada — „Była, obejrzała i pojechała dalej. Kto wie, kany jest teraz“. Zły był i stórbowany wielce. „No niech se pan uwazy“ — mówię, bo mi sie go zal zrobiło. — „Baba, to jak koza. Choćbyś ją najbardzi chciał dogonić, jak sie uprze, to ją nie dogonis. Juz je tu, juz je haw — kark mozes skrócić, jakbyś seł za nią, ka sie jej zabazy. A choćbyś ją i dołapiel, to je jesce nimas. Babę trzymać w rękach, to tak jak mgłę“. — „Głupiś!“ powiada mi pan we złości „Moze i to być“... Niesprzeciwiałech sie, bo coż, w takim interesie, to ja by sie jesce bardzi złościł. „A ni mozna by tyz tu co dostać zjeść?“ pytam sie pana nieśmiało, bo od Rzymu

nic nie miałech w gębie, i pan tyż musiał zgłodnieć. „Dyabła!” — mówi — „juz-ech sie pytał. Nic ni mają, cheba kozie mleko“... Tfu!... splunąłech, bo mi sie zbacyło, jak mie raz u jednego komornika pocęstowali, niech im Bóg nie pamięta, dobrzy ludzie. „To to koziarze. Widać... Z cegozby inzego zyli? Ale po co im to miasto, te murowanice? Skryłby sie hycel pod krzak, jakby niepeć przysła, i byłoby. Po co ludzi ćmić z daleka miastem. Ale widzą pan — mówię — jak oni nas opatrują, jak oczami takują kuferki. To niebezpieczny naród“... —

„No, zbieraj sie!” Przynagła pan. „No dyć dobrze, ja gotowy, pakunki zaraz bierę“ — mówię — „ale jakze tak na piechotę... przecie tu moze mają jakie bydłę, coby pan na niem zjechał“... — „Nic nima“ — mówi — „ani osła, ani zadne rzecy, ktora jego jest. Leć wartko zatrzymaj poganiaca, niech zawróci“.

Poleciałech w te pędy, dostałech sie wnet na otwartą drogę — widzę go zdaleka, wołam — ten nic, jak głuchy. Zleciałech na dół i dopadłech go na zakręcie. „Dawaj pikolę i bestyę!“ — mówię zdysany — „abo grandę, abo obie wraz. Co tchu!“ I zastąpiłech bydłotom. A ten kijem wywija i zagania. Nie chce. „Zjadłeś dyabłów! Ja cie tu będę prosił!“ Porwałech osła za chomont i ciągnę. Ale kabyś z bestyą... Zaparł sie wsyćkiemi sterema nogami, i ani rus. A Włoch ręce włożył w kieszenie i patrzy. Taka

mie wiecie wtedy złość porwała, zebych był osła zabił, i tę drugą bestyę, i tę trzecią. Ale jakiś święty ustrzegł. Ludzie jacysi dochodzili, toz to mi opamiętanie przysło. Zwróciłem się do poganiaca i zacząłem mu na rozum wykladać: ze niech się nie boi, ze zarobi, ze tych ludzi na świadków bierę... Ale nie, nie dał se wyłożyć — pognął.

Coz było robić. Nakłąłem mu ino w duchu i zawróciłem nazad. „Co tyz to za naród!“ — myślałem se idący w górę — „ani tak z nim, ani owak, jak i z tym osłem“... Pan na mnie cekał, rozmawiał z Włochami. Niecierpliwił się już widać. Skoro mie dojrzał: „Coz?“ pyta się wartko. „Nie chce zawrócić. Pognął“. Pan podumał chwilę. „No, bier kufry, i pódziemy“. I poślimy, ale iną drogą, o której panu powieździeli, ze je krótsa i do inśy stacyje prowadzi.

Uślimy już kawał setny... Moiściewy! jak nas tyz złapił dysc, to sie widziało, ze nas do znaku zatopi. Nie strugi, ale potoki z chmur, z nieba prościutko na nas leciały. Wyznalimy tyz! Ja jesce, jak ja — to mi ta nie dziwne, choć takiego naremnego dysca to u nas nie bacę — ale pan mój już ledwo laził, taki był biedny. Żal mi go było doprawdy, choć-ech i siebie lutował, bo mi kufry ociężały od wody i gnietły plecy. Pociesiałem go, jakech mógł. „To nic“ — mówię — „to przeleci, choć nas ta pomocy“... To znowu chciałem go oześmieszyć, i mówię:

„Prosem pięknie, niech mi tyz powiedzą, jak sie ten kozi wierch nazywa, niby to miasto, ka my byli... Bo bych chciał to imię zapamiętać dzieciskom na przestrogę, jakby sie im cego zachciewało“... Pan ino załośnie na mnie pozierał za kazdem słowem, tom już potem i nic nie gadał.

Dostalimy sie wreście do stacyje. Ale suche nitecki nie było na nas. Pan sie odrazu do ciekalnie zamknął i przebrał sie doznaku, a ja już taki mokry musiał ostać.

Potem pan zawołał, cyby ni mozna co dostać zjeść. Dali nam ośle synki, bo nic inzego nie było. Kiedyindziej byłbych nie spojrział nawet na to, a wtedy mi tak ta synka smakowała, jak nigdy nic w zyciu.

Pan jesce w kolei trzął sie od przeziębienia. O jangielce nie dał se wspomnieć i z te złości, jak my do Rzymu przyjechali, poseł zaraz do hrabine i nie wrócił, aze nazajutrz koło południa.

W Rzymie nie długo my już potem byli. Ino kielka dni. Pan postanowił powrót. Mieli-my jesce do Neapolu pojechać, ale pan duzo piniędzy pozyczył hrabinie i już mu brakło. Nie załowalech, ze my tam nie pojechali, bo raz, zech ku chałupie pociągał a potem słysalech, jak któryś z malarzy mówił, ze „widzieć Neapol i umrzeć“ z tego widoku... to mie tyz nie bardzo ciągnęło.

Wracaliśmy insemi drogami, samemi kole-

jami, az sie cnęło. Jechalimy oba z panem w trzeciej klasie, bo jak-ech już powiedział, pieniędzy nam nie wystało.

Pan jechał smutny i mało co bez drogę gadał. Ozcymałech mu, jakech mógł, ze wszycko będzie dobrze, ze choć jangielkę dyascy kanysi ponieśli, to z hrabiną sprawa pewna, skoro koucya założona — niech sie nie trapi — ale nieporada go było ozbawić. Wreście i dałech spokój, bo i mnie myśl ku chałupie uciekała, skoro my sie zblizali, jak tyz ta co, cy w domu zdrowi, cy zbiórki będą na polu...

Ozstalimy sie z panem na nasej stacyi pan pojechał ku Zakopanemu, a ja zaś poseł ku chałupie. I to wszycko. Jak Bóg pozwoli, kie, to go przy casie odwiedzę.

— To-ście dudków nijakich nie przywieźli? — spytał w końcu człeczyna, który cały czas przydrzymywał i słowem się nie wtracał.

— Piniędzy bom nie przywiózł — odrzekł Jędrek — ale com użył, com uwidział, com sie nauczył, to tego nie kupiłbych za cały swój grunt. I wiecie, co se pomyśluję... ze kto wie, cy Panie-zus umyśnie nie zesłał pana, aby mie w Tryje-strze spotkał, a moze i ci, co mi piniądze ukradli, byli od ktoregosi świętego natchnieni.

Treść:

Wieczór lipcowy
Wojtusiove lato
Schronisko
Jak Józus' chciał,
a jak mu wyszło..
Południe
Jas' z nad brzegu
Jak Jędrak 'Sklarz po
włóckach jeździł...

1888

1889

1890

1891

1892

1893

1894

1895

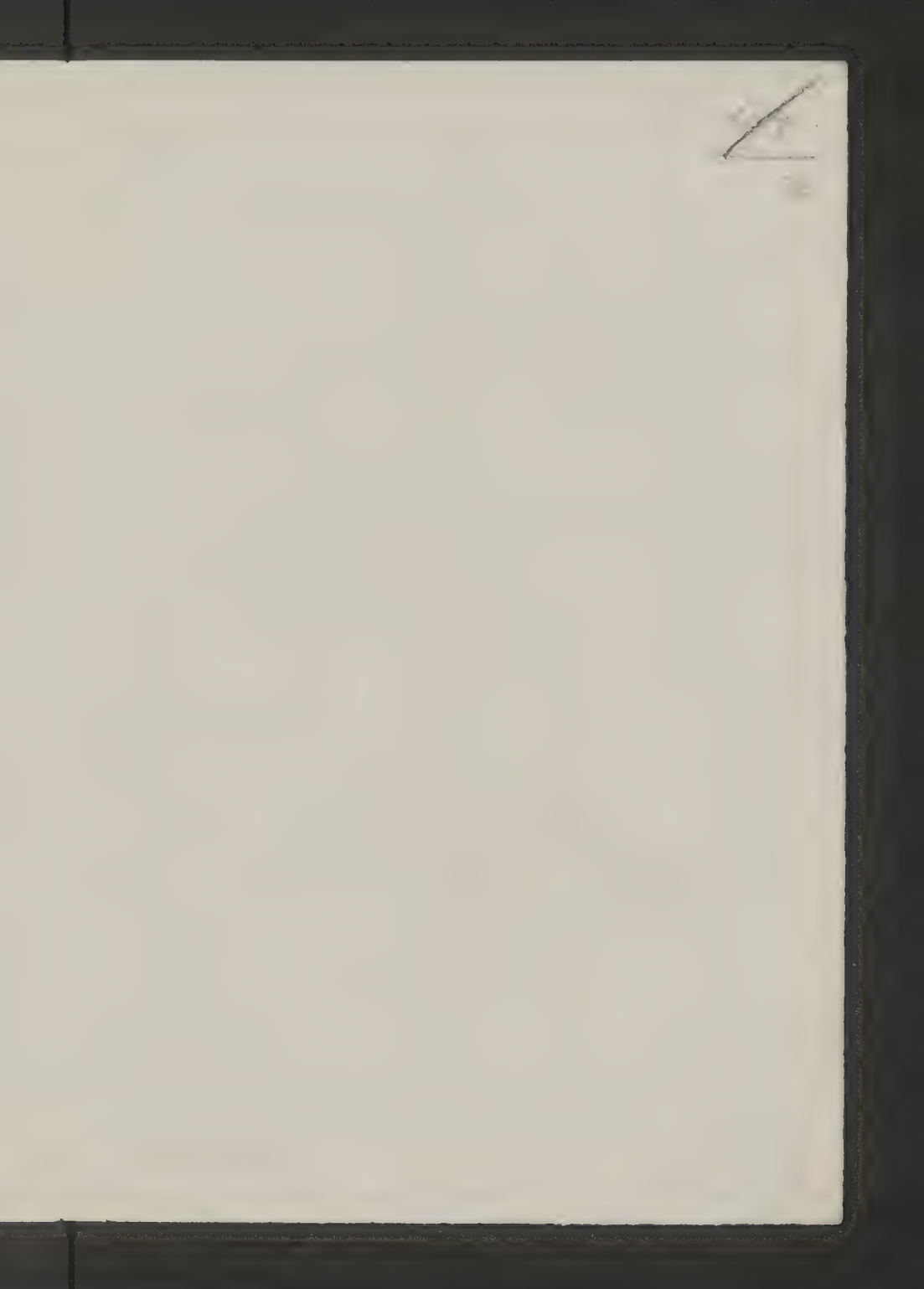
1896

1897

1898

1899

1900





I. Miłost' Pasterska

73

1. Wojskowe Leto
2. Schronisko
3. Jak Jazub ciciat...
4. Potudnie (Jak...)
5. Jas' z nad brzegu, (Potudnie)
6. Jak Jazub Jklor... 7. („Sicoria")

III. Komornik

II. „Czary"

1. Kościelny
2. Kieckowe Lysina
3. Jas' z nad brzegu
4. Linguska v Kaja Zulo
5. Berke Nida, ...
6. Czary
7. O duchach, zackach i Juroci
8. Puzkny moment
9. Okulery gubernera
10. Wspomnienie Wismara
11. Wismar i budowa
12. Jazub
13. Niedowierek (3) - 14. O pielgrzymce

IV. "Baja i povisiciopiden"

1. Herkules nov.
2. O vojtku, kótorys..
3. O pčane tuctu
4. Jedny Baja i povisiciopiden
5. Veseli Prometeum
6. "Nepokon"
7. O sv. Mertymce
8. Zemsta melu
9. Vchrouzko
10. Svít nad lens
11. Lid

I.

Crasy

1. Kosiobny
 2. Jed z nad brzo
 3. Białkowa Lysina
 4. Lingwista & Krzyż Zielony
 5. Berta Neda & partja polityczna.
 6. Crasy
 7. O Ducha, zuchwał i śmiałość
 8. Okulery Suwara
 9. Pyski moment
 10. Wpływienie Wiskim
 - ~~11. Wpływienie Wiskim~~
 11. Wiskim i Tude
-

II. 1. Bija i porównanie

2. Herkules nowiny
3. O Wójtku, którego nie Sierpina przekonał
4. ~~Opowiadanie~~ O Płucach
5. Jak Jedna Skim
6. Wska Prow.
7. "Napoleon"
8. O św. Mertym
9. Zmowa ~~Amelara~~
10. Lś
11. Wit

III. Místní poutě

1. Pořadnice
 2. Jak žijeme chudě
 3. Schroněho
 4. Wajfšova lito
 5. Jak žijeme (khan.)
 6. Pořadnice
 7. "Světlo"
 8. "Nebořák" - ...
- L ...

—
"Komorníky."

Novela.

#5

I. "Mit. past."

1. Potudnie
2. Jak Jozua's client
3. Schroudko
4. Wojtusiove leto

Laty u mi:

1. Lingardta
2. Bertek nyda
3. Cravy
4. O Duchack
5. Okulsky suvereny

II. "Herkules nov."

- Herkules nov
Jedny Baje i povestem
O vojtku, klavy
Prvky moment
Opovrd o stencu
Lis
Jak Jozua's client

Kid uov nov.

1. Janyne
2. Kozkovsky

III. Kocle Prometum

- Kocle Prometum
Joz
"Nepokoni"
O sv. Mertyni
Zemsta melena
Kozkovsky
Joz's uov nov

Dr Siekiera
Komitetu mowy
mowy

Dziśkuś serdecznie te życzenia

Młodym Orłem



